ZNAK

MIESIĘCZNIK

KS. WINCENTY GRANAT: MIŁOŚĆ PRZETWARZAJĄCA ○ **KS. WACŁAW EBOROWICZ:** AKTUALNE ZAGADNIENIA BIBLIJNE W ŚWIETLE ENCYKLIKI HUMANI GENERIS ○ **HANNA MALEWSKA:** SIR TOMASZ MORE ODMAWIA

K R A K Ó W

L I S T O P A D 1 9 5 1

30

REDAGUJE ZESPÓŁ

Członkowie zespołu: **Antoni Gołubiew, Hanna Malewska, Stefania Skwarczyńska, Stanisław Stomma, Stefan Swieżawski, Jerzy Turowicz, Jerzy Zawieyski**

REDAKCJA: **Kraków, ul. Sobieskiego 3, III p., m. 8. Tel. 598-46**

ADMINISTRACJA: **Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 213-72**

GODZINY PRZYJĘĆ REDAKCJI:

codziennie od 10—12

ADMINISTRACJA: **codziennie od 9—13**

CENA ZESZYTU — 4.50 ZŁ

W PRENUMERACIE — 4.20 ZŁ

Prenumeratę wpłacać należy na konto P.K.O. Nr. IV 9684/110 P. P. K. „RUCH" — „Tygodnik Powszechny" („ZNAK")

M-2-22239

DRUKARNIA PRASOWA W KRAKOWIE, PRZEDSIĘBIORSTWO PAŃSTWOWE, KRAKÓW, UL. WIELOPOLE 1

ZNAK
MIESIĘCZNIK

ROK VI — LISTOPAD 1951 — NR 4 (30)

KS. WINCENTY GRANAT

MIŁOŚĆ PRZETWARZAJĄCA

I.

Wśród istot żyjących na ziemi jedynie człowiek posiada niezwykłą i wyjątkową zdolność zwracania się ku przeszłości swego gatunku, a nawet ku dziejom wszystkiego, co żyje i istnieje, by poznać i zrozumieć, a przez to z większą łatwością określić swe miejsce w świecie.

Jeśli w tym względzie uważać będziemy klasyczną filozofię grecką za szczytowe osiągnięcie reflektującej ludzkiej myśli, nie wspartej objawieniem, to trzeba zauważyć, iż żaden z filozofów przed-chrześcijańskich nie nauczał o Bogu Stwórcy całego wszechświata, ani nie nazwał Boga Miłością, ani tym bardziej nie miał pojęcia o Miłości Najwyższej, biorącej udział w cierpieniach i szczęściu człowieka, walczącego o dobro. Z wielkim trudem przebijała się myśl grecka od uznawania pra-początków w postaci: „wody", „powietrza", „nieokreśloności", „czterech pierwiastków", „wiekuistych atomów", aż wzniosła się do twierdzeń o „Pierwszym Motorze", Najwyższym Rozumie (Noesis noeseos — Arystoteles), Rozumie Urządzającym (Anaksagoras), Wiekuistym i Nieśmiertelnym Pięknie i Dobru (Platon). Sens świata widzieli Grecy w powrocie bytu do pra-początków, w powolnym wznoszeniu się ku pięknu, co nie ginie (Platon), w harmonijnym, rozumnym życiu

(Arystoteles), w kontemplacji rozumnej zasady wszechrzeczy i w stosowaniu się do prawideł rozumu (stoicy). Helleńskie ideały piękna i dobra starały się oderwać człowieka od biedy i nędzy świata, ale nie dostrzegały wielkości w konkretach.

W przeciwieństwie do myśli greckiej już Stary Testament zna dobrze pojęcie Boga Stwórcy materii i życia i chwali dzieło Wszechmogącego, jako dobre; fakt wszechmocy stwarzającej, a zarazem dobroczynnej i biorącej udział w historii człowieka, jest często opisywany w pismach prorockich i psalmach. St. Testament wypowiada słowa zachwytu nad Mądrością, która jest „tchnieniem mocy Bożej", „jasnością wiecznej światłości", „zwierciadłem bez zmazy Boskiego Majestatu i wyobrażeniem dobroci Jego".[1]) Owa Mądrość „chociaż w sobie trwa, wszystko odnawia i poprzez pokolenia w dusze święte się przenosi i czyni z nich przyjaciół Bożych i proroków".

Mimo takiego uznania dla Mądrości, dosięgającej swą mocą „od końca aż do końca" i „urządzającej wszystko swoją łagodnością", Pismo Starego Zakonu wkłada w usta kaznodziei słowa: „Marność nad marnościami i wszystko marność".[2]) „Cóż więcej ma człowiek z pracy mojej? Widziałem udręczenie, które dał Bóg synom człowieczym, aby się nim trapili".[3]) „Ujrzałem uciski, które dzieją się pod słońcem, woła dalej Eklesiastes, i łzy niewinnych, a żadnego pocieszyciela".[4]) Zagadnienie cierpienia, tak niezwykle wyraziście i ostro postawione przez księgę Hioba, znajduje wyjaśnienie na płaszczyźnie doczesnej, gdyż Hiob po przejściowych cierpieniach otrzymuje nagrodę: „A Pan błogosławił koniec Hioba więcej niż początek jego. I miał czternaście tysięcy owiec i sześć tysięcy wielbłądów i tysiąc jarzm wołów i tysiąc oślic."

Dopiero Nowy Testament łączy bardzo ściśle ideę stworzenia z ideą miłości, a nie będzie to miłość, która jedynie pociąga ku sobie pełnią swej doskonałości, jak nauczał Plato, gdyż wszechmogące Boże słowo, stwarzające świat jest Myślą, Siłą, Czynem, lecz przede wszystkim Dobrocią, co się zniża i udziela światu. Wiekuista Boża Mądrość łącząc się osobowo z jedną ludzką naturą, wchodzi w historię grzesznej ludzkości, by dzielić się swym Bóstwem i doskonałością, by przywracać i dawać wszystkim ludziom życie nowe, ponad-ludzkie — życie synostwa Bożego, a tego nie może dokonać ani wola ludzka, ani siła materii, jak to uczy wyraźnie prolog ewangelii św. Jana: „A wszystkim, którzy go przyjęli i uwierzyli w imię jego, dał moc, aby stali

się synami Bożymi, którzy nie ze krwi, ani żądzy ciała, ani też z woli ludzkiej, ale z Boga się narodzili".[5])

Ucieleśniona Boża Miłość zwana w języku ludzkim Jezusem Chrystusem, Zbawcą świata, da przykład słowem i czynem, jak należy kochać Boga i bliźniego, a przy tym pouczy, gdzie jest źródło wszelkiej miłości i powie o tej dziwnej, tajemniczej i cudownej przemianie zachodzącej w ludzkiej duszy przez działanie Przetwarzającej Bożej Miłości. — Abyśmy mogli uwierzyć, że więcej w nas się dokonuje, niż możemy zaobserwować i doświadczyć, musimy wczytać się w ewangelie i rozważać drogi Boskiej Miłości.

1. Miłość Boża ukazana i uwidoczniona w Chrystusie jest Miłością Szukającą, bo przecież, jak czytamy w ewangelii: „przyszedł bowiem Syn Człowieczy, aby zbawił co było zginęło"[6]) i nie jest wola Ojca, który jest w niebiesiech, „aby miał zginąć jeden z tych maluczkich".[7]) Miłość Szukająca obcuje z grzesznikami, a przez to naraża się na zarzut ze strony czystych: „Czemuż to z celnikami i grzesznikami je nauczyciel wasz?" Odpowiedź jest godna Miłości Szukającej: „Nie trzeba lekarza zdrowym, ale tym, którzy źle się mają", „Pan nie przyszedł wzywać sprawiedliwych, ale grzeszników".[8]) Obraz Miłości Szukającej znaleźć łatwo w przypowieściach o zaproszonych na gody, kiedy to gospodarz każe wyjść sługom na drogi, ulice i opłotki, aby prosić usilnie na ucztę[9]), w przypowieści następnie o zgubionej owcy i drachmie, będących symbolami grzesznika poszukiwanego z wielkim wysiłkiem i trudem[10]). Aby jeszcze mocniej podkreślić wagę szukania i radość znalezienia, wypowiada Zbawca prawie że niezrozumiałe zdania o gospodarzu, co opuszcza dziewięćdziesiąt dziewięć owiec na pustyni, a idzie szukać jednej zaginionej, a gdy ją znajdzie, bierze na ramiona swe, raduje się i przyszedłszy do domu zwołuje sąsiadów i mówi: „Radujcie się ze mną, bom znalazł owcę, która była zaginęła. Powiadam wam, że taka będzie radość w niebiesiech z jednego grzesznika czyniącego pokutę, jak z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy pokuty nie potrzebują"[11]). Starożytny grecki mędrzec rozpalał za dnia latarnie, aby szukać człowieka, Szukająca zaś Miłość wszędzie odkrywała człowieka, i tam nawet, gdzie inni już nie chcieli widzieć człowieczeństwa. Chrystus dojrzał pod warstwami spopielonej ludzkiej godności płomyczek, jaki da się rozniecić w płomień przetwarzającej miłości i dlatego szukał zagubionej

wielkości, i dlatego cieszył się, gdy ją znalazł, bo Miłość nigdy żadnego dobra nie chce odtrącić.

2. Ucieleśniona Miłość Boża jest także Miłością Wyrozumiałą dla grzeszników, a używa mocnych i ostrych wyrażeń jedynie w stosunku do tych, co zbyt pochopnie pragną potępiać i karać, a jednocześnie niszczą swą moralną strukturę przez dwoistość życia i pozór świętości — dla takich właśnie faryzeuszów ma Zbawiciel surowe epitety: obłudnicy, groby pobielane, rodzaj jaszczurczy; w stosunku zaś do tych, co nie ukrywają swej winy i nie ulegają kłamstwu życia i szczerze szukają wyzwolenia, Chrystus wypowiada słowa niosące życzliwość i przebaczenie: ufaj synu, ufaj córko!Wobec swych przyjaciół, którzy nie zdają sobie sprawy z tragizmu chwili i nie odczuwają bólu człowieka zmagającego się w Ogrodzie Oliwnym z wizją męki, Zbawca zdobywa się na jakże ludzkie i przyjacielskie zdanie: „duch wprawdzie jest ochoczy, ale ciało omdlałe" [12]), wobec zaś wrogów, co mu życie odbierają, Chrystus — już bliski haniebnej śmierci na krzyżu — okazuje swą życzliwość i wyrozumiałość: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią" [13]).

3. Miłość Chrystusa nie jest ślepa i nie pochodzi z jakiegoś instynktu i sentymentu, lecz jest w pełni Miłością Wiedzącą i Odkrywczą. Chrystus widzi człowieka takim, jakim jest, t. zn. jasno spostrzega jego małostkowość, słabość, ale też okrucieństwa i moralną ohydę, z drugiej strony odkrywa w duszy ludzkiej wielkość powołania i możność wydobycia się z upadku· „I nie trzeba mu było — mówi św. Jan o Chrystusie — niczyjego świadectwa o człowieku, sam bowiem wiedział, co kryje się w człowieku" [14]) — wiedział, a jednak kochał i dał swe życie, aby bronić ludzi przed realnym złem. Pisał kiedyś Nietzsche o Chrystusie, że „on jednak umrzeć musiał: oczyma, które wszystko widzą — widział człowiecze głębie i dna, całą jego zatajoną sromotę i szpetność..... Bóg, co widział wszystko, nawet i człowieka, Bóg ten umrzeć musiał" [15]). Nietzsche — indywidualista — nie rozumiał, że człowiek boi się wewnętrznej pustki i samotności i pragnie, aby ktoś wielki był razem z nim, słusznie go oceniał i wydobywał ze zła. Piewca nadczłowieka uważał, że Bóg przeszkadza w dążeniu do wielkości, a nie wiedział, że miłość Boga jest warunkiem wielkości człowieka; dla Nietzschego obcą też była tajemnica Ukrzyżowanego, okazującego przewartościowanie wartości przez śmierć, a przywracanie życia i wielkości przez zmartwychwstanie, gdyż Bóg

umarł, a żyje i życie mocy przywraca. Miłość Odkrywcza zobaczyła w człowieku materiał na budowę naszego życia, dała przez śmierć i zmartwychwstanie niezwykłe moralne siły i w dalszym ciągu działa wśród nas.

4. Miłość wcielona jest przybliżeniem się do nas Boga, gdyż „przez tajemnicę Słowa Wcielonego nowe światło zjawiło się oczom naszego umysłu, abyśmy poznając Boga w widzialnej postaci wznosili się do rzeczy niewidzialnych“ [16]). Wśród psychologów i filozofów religii panuje moda na rozróżnianie między dalekim Bogiem filozofii, będącym pierwszą przyczyną świata, i bliskim Bogiem religii —, Bogiem miłości i dobra; rozróżnianie to, zresztą dosyć sztuczne, niknie w ujęciu ewangelii, gdyż Stwórcza Boża Moc obiera mieszkanie wśród ludzi i wchodzi w ich historię jako człowiek. Proboszcz z powieści Bernanosa — Pamiętnik wiejskiego proboszcza — tak przemawia do mającej żal do Stwórcy: „Pani, rzekłem, gdyby nasz Bóg był bogiem pogan lub filozofów (dla mnie to jest to samo), daremnie by się chronił w najwyższe regiony nieba, nasza niedola ściągnęłaby Go stamtąd. Ale pani wie, że nasz Bóg wyszedł naprzeciw niedoli. Można Mu wygrażać pięścią, pluć nań, biczować Go i wreszcie przybić na krzyżu. To już się stało, moja córko“. Człowieczeństwo Chrystusa jest stopniem do zjednoczenia się z Jego bóstwem, a jednocześnie jest unaocznionym dowodem miłości Bożej ku nam i pomocą w rozwikływaniu „węzłów życia“, a jednocześnie ułatwia rozumowi wniknięcie w sens istnienia. Bóg stał się bliski i ludzki, ukrywając swój Majestat, aby ludzie stali się dlań bliżsi i boscy.

5. Wcielona Boża Miłość jest również Miłością Przyjacielską: — „Już was nie nazwą sługami — mówi Chrystus — bo sługa nie wie, co czyni Pan jego. Lecz nazwałem was przyjaciółmi, bo wszystko, co usłyszałem od Ojca, oznajmiłem wam“[17]). Chrystus nikogo nie wyklucza od przyjacielskiej życzliwości i ta właśnie przyjaźń stanie się podstawą naszego bliskiego i przyjacielskiego stosunku do Miłości Przetwarzającej.

6. Życie Boga Wcielonego jest heroiczną służbą dla dobra innych, gdyż Syn Człowieczy nie przyszedł, aby mu służono, lecz aby służyć i duszę swą oddać na okup za wielu, [18]) co stanowi dowód wielkiej miłości ku człowiekowi, bo nikt nie ma większej miłości nad tę, aby kto życie oddał za przyjaciół swoich“. [19])

Idea Boga cierpiącego w ludzkiej naturze w celu przetworzenia owej natury, jest tak niezwykła i przerastająca wyobraźnię i pojęcia, że wydaje się marzycielską i fantastyczną utopią, a jednak ta właśnie idea stworzyła najpotężniejszy i najbardziej uduchowiony ruch religijny i podtrzymuje go przez blisko już dwadzieścia wieków. „Sielanka galilejska" (wyrażenie E. Renana) tragicznie zakończona Golgotą, każe w nowy, niezwykły sposób patrzeć na losy cierpiącego świata i w ogóle na sens ludzkiego istnienia. Trzeba aż krzyża, na którym zawisła w bólu konania Miłość Wcielona, aby dojrzeć wśród plątaniny: heroizmu i zbydlęcenia, przeciętności i niezwykłości, wśród zamierań wielkich kultur i powstawania nowych, jakieś dogłębne prawo wiodące ludzi dobrej woli do Miłości Nieskończonego Dobra, jakie częściowo w tym świecie na małą skalę, a w innym w skali nieograniczonej wygładza i uwiecznia ludzkie dobro.

Jeśli już znamy fakt ewangelii, a w każdej przecież chwili możemy wziąć do ręki cztery intrygujące i paradoksalne książeczki, to możemy sobie przypomnieć następujący dylemat, tak bardzo naturalny i nasuwający się umysłowi (znany także św. Tomaszowi z Akwinu): albo Bóg jest Wszechmogący i może złu w świecie przeszkodzić, a nie chce, albo jest Miłosierny i chciałby złu przeszkodzić, a nie może, z tego wniosek, że w jednym i drugm wypadku Bóg nie byłby Istotą Najdoskonalszą. [20])

Rozwiązanie powyższego dylematu znajdziemy w ewangeliach; wykazują nam one, że Miłość Boża chce złość usunąć i usuwa, byleby wola ludzka nie psuła dzieł Bożych; poza tym ewangelie świadczą, że Wszechmogąca Miłość Boża ze zła umie wyprowadzić dobro i że potrafi okazać miłość w cierpieniu, a zło moralne umie też usunąć siłą miłości — plany zaś swoje Miłość przeprowadza mając na uwadze wszystkie czasy aż do skończenia wieków, kiedy to w pełni ujawni się zwycięstwo dobra. Miłość Boża okazana w śmierci Chrystusa, a zwycięska w Zmartwychwstaniu, jest dla nas umocnieniem przekonania, że istnieje Miłość Stwarzająca i Miłość Przetwarzająca. Czytając ewangelie i patrząc na Chrystusa z większą łatwością zrozumiemy orzeczenie soboru Watykańskiego o tym, że: Bóg dobrocią swoją i Wszechmogącą Siłą w sposób najbardziej wolny powołał z nicości do bytu stworzenia „nie dla wzrostu swej szczęśliwości lub w celu jej uzyskania, lecz dla okazania swej doskonałości przez dobra, które stworzeniom udziela"[21]). Treść tego orzeczenia mówi, że Dobro Najwyższe nie ma nic wspólnego z egoizmem

i że jedyne Pożądanie w Najwyższej Miłości, to chęć uszczęśliwiania nie siebie lecz innych. Analogicznie do Miłości Stwarzającej, Miłość Ucieleśniona szuka nie dla siebie, zbawia nie siebie i cierpi za innych i dlatego w Chrystusie widzimy także odblaski Miłości Stwarzającej, a nawet wiemy zgodnie z wiarą, że jest to ta sama Miłość powołująca światy do bytu, gdyż cierpiący Syn Boży jest w Boskiej swej naturze Stwórcą świata. Gdy Faust pyta, co było na początku, to odpowiedź chrześcijańska nie wykluczając Myśli, Siły i Czynu będzie brzmiała, że początkiem wszystkich początków, a więc i materii i ducha jest Miłość udzielająca się w ogóle światu, w szczególniejszy zaś sposób istotom świadomym i wolnym, — w tej zaś Miłości znajdzie się i Myśl, i Siła i Czyn.

Patrząc przez pryzmat Nowego Testamentu lepiej zrozumiemy sens istnienia i rozwoju ludzkości; nie negując żadnych bliższych praw dziejowego rozwoju, odkryjemy, że ludzkość zmierza mimo wszystko ku Dobru i ziemskiemu i ponad-ziemskiemu, a „wieki ciemne" i lata okrucieństw wynikają z rozlicznych egoizmów stawiających opory sile Dobra. —

Wśród nowoczesnych nie-chrześcijańskich filozofów poszukujących sensu bytu najwięcej zrozumienia dla niezwykłości ewangelii okazał Henryk Bergson; uważał on, że na podstawie doświadczeń mistycznych spotykanych w każdej głębszej kulturze, a szczególnie chrześcijańskiej, można budować racjonalne wnioski o początku i celu świata. Mistycyzm, według Bergsona, zaczyna się przez „łączność, a konsekwentnie tożsamość z twórczym wysiłkiem życia; owo działanie, jeśli nie jest Bogiem samym, to pochodzi od Boga. Wielki mistyk jest indywidualnością przekraczającą granice gatunku nałożone przez materię — przedłuża on w ten sposób dzieło Boże." [22]) Jeśli, według Bergsona, zwrócimy uwagę nie na uboczne objawy, lecz na istotę prawdziwego mistycyzmu, to wykryjemy, że nie jest on ani wizjonerstwem, ani w ogóle jakimś patologicznym objawem, gdyż nie rozbudzałby pragnień wielkich czynów, a co najważniejsze nie byłby nacechowany zdrowym sądem i niezwykłą ponadludzką roztropnością. Mistycyzm zupełny spotykamy, jak sądzi Bergson, dopiero w chrześcijaństwie, chociaż także w innych religiach znajduje się on w stanie szczątkowym, a nawet każdy człowiek odnajdzie w sobie ślad mistycznych przeżyć. „Miłość,

która przenika duszę mistyczną, pisze dalej Bergson, nie jest miłością człowieka ku Bogu, to miłość Boga ku wszystkim ludziom. Z Boga i przez Boga kocha mistyk Bożą miłością wszystkich ludzi"[23]), mistycy zaś chrześcijańscy są tylko naśladowcami i kontynuatorami niedoskonałymi, chociaż autentycznymi, tego, czym był całkowicie Chrystus opisany w ewangeliach."[24]) Mistycy twierdzą, że znajdują się w kontakcie z Bogiem-Miłością, a te ich niezwykle szczere oświadczenia są w swej istocie niezależne od wewnętrznych wpływów kulturalnych i dowodzą według Bergsona, że naprawdę istnieje rzeczywisty Byt (L'Etre), z którym mistycy znajdują się w kontakcie. Jedno lub drugie doświadczenie mogłoby mieć charakter prawdopodobny, doświadczenia jednak mistyczne, pozbierane z tylu różnych środowisk kulturalnych i na tak wielkiej długości czasu, prowadzą nas do pewności istnienia Boga, tymbardziej, że filozofia uznaje możliwość i fakt intuicji, a u wszystkich ludzi istnieje dalekie echo mistycyzmu.

„Mistycy zgodnie świadczą, wywodzi dalej Bergson, że Bóg nas potrzebuje, jak również, że my Boga potrzebujemy; dlaczego nas potrzebuje? — jedynie po to, aby nas kochać. To wniosek filozofa, opierającego się na doświadczeniu mistycznym. Stworzenie objawi się wtedy jako przedsięwzięcie Boga stwarzającego stwórców w tym celu, aby móc złączyć z sobą istoty godne Jego miłości."[25]) Tok myśli Bergsona, jak łatwo spostrzec, wskazuje na to, że Chrystus i jego Miłość, z której pełności pochodzi najbardziej autentyczny mistycyzm, rozjaśnia nam metafizyczny półmrok początku i sensu świata i prowadzi do uznania Bożej Miłości działającej w świecie.

Dowód Bergsona na istnienie Boga w oparciu o materiał dostarczony przez mistyków, może budzić zastrzeżenia krytyczne i domagać się podstaw bardziej intelektualnych, lecz jedno jest pewne, że teza o Miłości Stwarzającej nie jest rozumowo absurdalna, da się ponadto uzasadniać w metafizyce, a życiowo jest niezwykle płodna i potrafi zdobywać sobie zainteresowanie.

Uznanie prawdy o Miłości Stwarzającej i przyjęcie faktu Miłości Bożej Wcielonej, a szukającej i Przetwarzającej, są koniecznym warunkiem, abyśmy mogli zrozumieć, czym jest jedna z najdonioślejszych Bożych łask — mianowicie łaska uświęcająca; ta bowiem łaska pochodzi z Najwyższej Bożej Miłości zniżającej

się do nas przez Syna Bożego, który przyjął ludzką naturę za własną; w swej zaś istocie łaska uświęcająca jest naszym udziałem w Trójosobowej Bożej Miłości dzięki temu, że przetwarza duszę i władze duchowe i sprawia to, że jesteśmy przybrani za dzieci Boże i możemy posiadać dobro Nieskończone w ludzki i ponad-ludzki sposób. Łaska uświęcająca objawia się nam, jako najpiękniejszy twór dziejów Miłości na ziemi, jako też droga ku pełniejszemu jeszcze posiadaniu Boga w niebie przez jasną doświadczalną jedność, a jednocześnie, jako najwyższy moralny nakaz dla naszej osobowości:

Bądź niemowlęciem, mężczyzną, kobietą
Lecz przede wszystkim bądź Bożym człowiekiem.
C. Norwid

II

Kto uważnie czyta Pismo św. Nowego Testamentu z łatwością spostrzeże, że Chrystus pracuje nad tym, aby odnowić człowieka przez wyrwanie go ze stanu grzechu i przywrócenie do przyjaźni z Bogiem. Za pomocą wielu obrazów, symbolów i porównań, branych z życia przyrody i ludzkich społecznych stosunków, Pismo św. stara się opisać fakt zbłąkania się człowieka, a potem fakt niezwykłej przemiany i zwrotu ku Bogu; wielość wyrażeń na oznaczenie związku z Bogiem odrazu podsunie myśl, że nowy, niezwykły stosunek Boga do nas, a z drugiej strony nasze odnoszenie się ku Bogu nie da się bez reszty zamknąć w ludzkich terminach i pojęciach. Nasza żywa łączność z Bogiem będzie to Boże Królestwo, do którego wchodzimy przez pokutę, a będzie to królestwo jakiegoś dziwnego posiadania, nasycenia, synostwa Bożego, radości i oglądania Boga.[26]) Związek z Bogiem jest często określany w Piśmie św. jako nowe narodzenie i nowe życie powstałe mocą Ducha św.,[27]) otrzymujemy wówczas prawo, abyśmy jako nowonarodzone dzieci Boże posiadali Nieskończone Dobro, jak posiada je Wiekuisty Syn Boży.[28]) Człowiek odrodzony przez Boga ma jakąś wewnętrzną siłę — jest bowiem stworzony i ugruntowany w miłości i dąży przez Chrystusa do pełności Bożej,[29]) określanej, jako uczestnictwo w Bożej naturze.[30]) Człowiek odrodzony przez łaskę jest wewnętrznie przetworzony według idealnego obrazu pierwszego człowieka, który był stworzony w sprawiedliwości i świętości prawdy,[31]) i ma się dlatego odznaczać umiłowaniem tejże

prawdy i sprawiedliwości,[32]) a także wieloma innymi cnotami, jak prostotą, miłosierdziem, uczciwością i pracowitością.

Nowe niezwykłe życie polega na wyzwoleniu się z grzechu i włączeniu się w zasięg Miłości Chrystusowej okazanej na krzyżu, a to w celu, aby stary egoistyczny człowiek umarł, a nowy zmartwychwstał na podobieństwo zmartwychwstania Chrystusa i by już więcej nie podlegał kłamstwu i nienawiści.[33]) Związek odrodzonego człowieka z Bogiem jest podobny do biologicznej łączności gałązki ze szczepem winnym[34]) lub do ścisłej zależności i współpracy organów w ludzkim ciele,[35]) a także ma podobieństwo z ludzką przyjaźnią[36]), i jest niezwykłym zbliżeniem Boga do człowieka.[37])

1. Treść kilkunastu porównań wybranych z Nowego Testamentu najwyraźniej podsuwa nam myśl, że Miłość Boża okazana w Chrystusie dokonuje w ludzkiej naturze jakiejś dziwnej i niezwykłej zmiany, którą najlepiej można porównać do nowego narodzenia, jak to zresztą czyni sam Pan Jezus w rozmowie z Nikodemem: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam tobie, jeśli kto się nie odrodzi z wody i Ducha św., nie może wnijść do Królestwa Bożego. Co się narodziło z ciała, ciałem jest, a co się narodziło z ducha duchem jest.“ [38]) Miłość to Boża sprawia, że jesteśmy dziećmi Bożymi, a jeszcze się nie okazało, czym będziemy. Wiemy, że gdy się okaże, będziemy podobni do Niego, bo ujrzymy Go, jak jest.“ [39])

Analizując głębiej ideową zawartość chrześcijańskiego dogmatu o narodzeniu nowego człowieka, posiadającego prawa przybranego Bożego syna, zdobywamy nowe widnokręgi myślowe i lepiej rozumiemy ustawiczne prawie wołania ludzkości o „nowego człowieka“. Czy rozwój ludzkości nie zmierza ku temu, aby człowiek się odnawiał i doskonalił i czy nie możnaby zobaczyć we wszystkich prądach społecznych i rewolucjach owego głębokiego pragnienia, aby człowiek przekształcił się według ideału sprawiedliwości? Jeśli odpowiedź wypadnie pozytywnie, co wydaje się dosyć logiczne, to okaże się, że ewangelia znajduje się w centrum zagadnień życiowych. Chrześcijaństwo i Kościół podejmują się zadania przeolbrzymiego, obliczonego na wieki całe, a jednocześnie przerastającego wszystkie czasy, gdyż nowy człowiek sięga w wieczność i powinien dojść do tej chwili, kiedy to „śmierci już nie będzie, ani smutku, ani wołania, ani bólu już nie będzie, bo dawne rzeczy przeminęły. I rzekł ten, który siedział na tronie: oto wszystko nowym czynię.“ [40])

Pisał kiedyś Nietzsche o człowieku, że jest on linią rozpiętą między zwierzęciem, a nad-człowiekiem — linią nad przepaścią... „oto, co jest wielkim w człowieku, iż jest on mostem, a nie celem; oto, co w człowieku jest umiłowania godne, że jest przejściem i zanikiem".[41]) Jakaż głęboka tęsknota religijna i w ogóle ludzka drga w powyższych zdaniach — tęsknota niestety o złamanych skrzydłach, a nie uleczonych przez Łaskę. Wstręt do nędzy człowieka, tak genialnie odmalowywanej przez filozofa nad-człowieczeństwa, prowadzi do potępiania człowieka w imię przyszłej wielkości — chrześcijaństwo, przeciwnie, chroni, jak najcenniejszy klejnot wszystko, co ludzkie, a człowiek się staje wielki i nadludzki nie przez negację i nienawiść człowieczeństwa, lecz przez odnowę człowieka i podniesienie do wyższego rodzaju życia — życia dzieci Bożych; zadania te są wykonywane przez Miłość, która zaszczepiona przez Boga w ludzkiej duszy uszlachetnia ją i przetwarza.

2. Odrodzony i przekształcony człowiek zwany jest synem Bożym przybranym, a to podsuwa nam ideę, że jesteśmy podobni do Jedynego Syna Bożego, który stał się człowiekiem, abyśmy upodobnili się do Jego Boskiej Mądrości i Dobroci; w języku popularnym wyrazi to św. Paweł pisząc, że jesteśmy dziedzicami Boga, a współdziedzicami Chrystusa: „A jeśli synami, to i dziedzicami, dziedzicami Bożymi, a współdziedzicami Chrystusa".[43])

W jakiś dziwny dla nas, w ziemskim życiu nie zrozumiały sposób Bóg stanie się naszą własnością, a my nie zatraciwszy swej indywidualnej odrębności i pozostając ludźmi będziemy myśleć i tworzyć po Bożemu, przez Boga i w Bogu łącząc się z całością bytu. Dziś wierzymy tylko, że kiedyś nastanie chwila dla kochających Boga, że przez widzenie i Miłość Nieskończonego Dobra będziemy brali udział w tym ustawicznie wiekuistym i nieskończonym przepływie dobra między Ojcem, Synem i Duchem św. Chociaż idea Synostwa Bożego, tak ściśle związana z odrodzeniem człowieka, jest przyjmowana na podstawie wiary, to jednak i w obecnym życiu, szczególnie u wielkich świętych, można już spostrzec „doświadczalne" przeżywanie dobra Bożego, a jest to przecież dopiero początek drogi ku Pełnemu Dobru.

Św. Teresa z Avili pisze, że „niekiedy słońce ono wiekuiste jasnym promieniem nieskończonej miłości swojej...... da duszy ujrzeć i uczuć jak blisko jest przy Boskim majestacie Jego, tak blisko, że i wyrazić tego niepodobna i uwierzyć trudno.

Komu dane było chociaż raz w życiu doznać na sobie, o czym mówię, ten — pewna jestem — że przyzna, jak słusznie i prawdziwie można w tym znaczeniu rozumieć słowa Oblubienicy: "Pod cieniem tego, którego pragnęłam, usiadłam, a owoc jego słodki gardłu memu" (z ks. Pieśni nad P. II, 3). Ja sądzę, że sam Duch św. tu działa".....[44])

3. Pismo św., pragnąc jeszcze bardziej zbliżyć do pojęć ludzkich fakt niezwykłej przemiany człowieka dzięki Przetwarzającej Miłości Bożej, wysunie ideę Bosko-ludzkiej przyjaźni: „Nie każda miłość — powie Tomasz z Akwinu — jest przyjaźnią" [45]), gdyż nie istnieje ona wówczas, gdy tylko dla siebie pragniemy rzeczy ukochanej, lecz wtedy jest prawdziwa przyjaźń, kiedy komuś dobrze życzymy i spotykamy się z wzajemną życzliwością, zakładającą posiadanie jakiegoś wspólnego dobra. Otóż między człowiekiem a Bogiem istnieje taka wspólnota, ponieważ Bóg udziela nam swej szczęśliwości. A w innym miejscu swej Sumy Tomasz napisze, że „doskonałość rozumnego stworzenia polega nie tylko na tym, co należy się jego naturze lecz także na tym, co mu jest dane przez jakieś nadnaturalne uczestnictwo w Bożym Dobru."[46]) W takiej przyjaźni bosko-ludzkiej istnieje u Boga pełna znajomość człowieka, a człowiek otrzymuje wiadomość o Bożym życiu i jego tajemnicach przez Objawienie i to jest podstawą ustawicznego i przyjacielskiego dialogu między Stwórcą a stworzeniem; w owym dialogu może się zjawić ból i skarga, żal i prośba o przebaczenie, radość i wzajemna „pochwała", istnieje ukorzenie się przed Absolutem, a jednocześnie odczucie bliskości Boga i przyjacielskiej zależności Stwórcy od nas, ludzi stworzonych.

Dowodem przyjacielskości Boga jest przyjęcie przez Syna Bożego ludzkiej natury i przeżywanie wszystkich ludzkich doświadczeń aż do tragicznej śmierci włącznie. Chrystus, Bóg-człowiek, staje się dla nas w ten sposób bliski i przyjacielski, abyśmy mogli przez Niego i w Nim spotkać się z Bogiem i posiadać jako przyjaciele wiekuiste dobro. Chrystus jako nieomylna prawda i przyjacielska Mądrość żyje w Kościele i zbliża się do nas przez sakramentalne znaki, a szczególnie przez swą realną obecność w Komunii św. i ustawiczne wspomaganie swą łaską walczącego o dobro człowieka. Wyrazem przyjacielskości Boga jest ów znany piękny tekst z ewangelii św. Jana:

„Jeśli kto mnie miłuje, będzie przestrzegał nauki mojej i Ojciec mój umiłuje go i przyjdziemy do niego, i przebywać u niego będziemy".[47])
Człowiek ze swej strony okazuje przyjacielską życzliwość względem Boga przez pracę nad rozbudową Bożego Królestwa, gdyż według wyrażenia św. Pawła „pomocnikami Bożymi" jesteśmy.[48])
Przyjaźń z Bogiem musi zawierać uczucia życzliwości czynnej w stosunku do całej ludzkości, bo: „Jeśliby kto powiedział, że miłuje Boga, a nienawidziłby brata swego, kłamcą jest".[49]) Przyjaźń i miłość ku Bogu i czynna realizacja planów Bożych jest tak nierozerwalnie związana z przyjaźnią ku człowiekowi, że przykazanie miłości Boga ma z konieczności obok siebie drugie: „A drugie podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego. Na tych przykazaniach całe prawo zawisło i prorocy".[50])
Przyjaźń między Bogiem a człowiekiem przemienia powoli uczucia bojaźni i lęku w ufność, gdyż „w miłości nie masz bojaźni, ale miłość doskonała wypłasza bojaźń".[51]) Dla chrześcijanina, który żyje z Boga i w Bogu, traci swe kanty niezwykła ostrość dogmatu o wiekuistej karze — owego m y s t e r i u m t r e m e n d u m, tj. tajemnicy dobrowolnego i upartego odwrócenia się od Najwyższej Miłości; chrześcijanin ufa, że bez swej winy nie utraci wiekuistego dobra, a poza tym wie on, że Stwórca chce być dla wszystkich przyjacielem, a cierpieniem swym Bóg w ludzkim ciele okazał, że wszystko gotów uczynić, by człowieka zbawić.
Przyjaźń człowieka z Bogiem mimo takiego braku proporcji między Pełnią i ograniczeniem, Mocą i słabością, wiecznością i czasem, absolutem i względnością, nie przygniata i nie poniża człowieka, a raczej ustokrotnia jego duchowe siły; przyjaźń Boża jest źródłem wewnętrznej niezależności. Rzecz to zdumiewająca i godna uwagi — pisze św. Jan od Krzyża — że chociaż ten Boski ogień jest tak gwałtowny i palący, że z większą łatwością mógłby strawić tysiące światów niż ogień ziemski jedną nitkę lnu, nie zabija i nie niszczy duszy... lecz przeciwnie, według tej siły miłości przebóstwia ją... I wtedy ta szczęśliwa dusza, która przychodzi do tego błogosławionego upalenia, wszystko wie i wszystkiego kosztuje, jest całkowicie wolna i wszystko osiąga, nikt przed jej oczyma nie jest wyższy, nic jej nie dosięga".[52])

Przyjaciele Boży znajdują się pod ustawicznym działaniem Ducha św., zwanego Duchem Prawdy i Pocieszycielem, który „wspomaga niemoc naszą, gdyż nie wiemy należycie, o co się modlić mamy, ale sam Duch błaga za nami wzdychaniem niewysłowionym".[53])

Katolicka nauka o siedmiu darach Ducha św. jako niezwykłych sprawnościach ułatwiających naszemu umysłowi (mądrość, rozum, umiejętność, rada) i woli (męstwo, pobożność i przyjacielska bojaźń Boża) obcowanie z Bogiem jest tylko ogólnym i szkicowym ujęciem niewysłowionych działań Ducha Bożego w ludzkiej duszy.

Pismo św. mówiąc o zjednoczonych z Bogiem przez przyjacielską miłość nazywa ich: świętymi, sprawiedliwymi, żyjącymi w prawdzie, zmartwychwstałymi w Chrystusie, wyzwolonymi z grzechu, budowaniem Bożym, rolą Bożą, świątynią Ducha św., treść jednak zawarta w wymienionych nazwach w istocie swej da się sprowadzić do idei o Bożym synostwie, przyjaźni z Bogiem i odrodzeniu człowieka. Znając ogólną treść owych zasadniczych pojęć dotyczących naszego związku z Bogiem możemy podać syntetyczny skrót katolickiej nauki o Łasce uświęcającej, która tak ściśle się łączy z nauką o Miłości Bożej i jest przetworzeniem człowieka dzięki sile tejże Miłości.

1. Łaska uświęcająca u swego źródła jest tą samą Miłością, co światy powołuje z nicości do bytu, aby móc się dzielić swym dobrem z wielością stworzeń.

2. Łaska uświęcająca zbliża się do nas przez Miłość Bożą odradzającą upadłego człowieka, a okazaną w cierpiącej ofiarnej Miłości Chrystusa ukrzyżowanego, dzięki któremu mamy prawo i sposobność wyzwolić się ze stanu zła i zwrócić ku Miłości Najwyższej.

3. Zwrot ku Bogu dokonuje się przez wewnętrzną przemianę człowieka scharakteryzowaną za pomocą wielu nazw i pojęć, a szczególnie przez idee: nowego narodzenia, synostwa Bożego i przyjaźni ze Stwórcą.

4. U mających używanie rozumu (t. zn. z wyjątkiem dzieci i chorych umysłowo) owa wewnętrzna przemiana dokonuje się przez usilne i dobrowolne włączenie się w państwo dobra i dobrowolną współpracę w dalszym rozwoju świętości.

5. Narzędziami tej dziwnej, nadprzyrodzonej przemiany ustanowionymi przez dobroć Boga, a przystosowanymi do wyobraźni ludzkiej są sakramenta św. — dla tych jednak, co sakramentów nie znają, ukochanie Dobra Najwyższego poprzedzone aktem wiary jest realną przemieniającą siłą; nawet dla tych, co znają i uznają sakramenty, czysta i bezinteresowna miłość Boga i bliźniego dokonuje zawsze zmiany grzesznika w świętego, sakrament zaś pokuty w tym wypadku będzie jedynie uzyskaniem większej pewności przebaczenia.

6. Miłość Boża Przetwarzająca ludzkie dusze przygotowuje nas powoli do posiadania w pełni Nadprzyrodzonego dobra, łaska więc uświęcająca jest już początkiem nieba na ziemi.

7. Łaska uświęcająca może być nazwana Miłością Przetwarzającą i to w podwójnym znaczeniu: jako siła idąca ku nam z Boga przez Chrystusa Boga-człowieka i jako siła nasza powstała z miłości Boga ku nam i z miłości naszej ku Bogu. Moc duchowa nowego życia jest tak wielka, że niszczy grzech, a nadaje kierunek i żywotność wszystkim cnotom. Św. Tomasz wyrazi się, że miłość jest formą wszystkich cnót[54]) dlatego, że je wszystkie skierowuje do ostatecznego celu i bez miłości nie ma żadnej pełnej cnoty.[55])

W świetle tego, co powiedziano o wartości i sile Przetwarzającej Miłości lepiej się rozumie hymn św. Pawła na cześć miłości, która decyduje, jaka jest wartość człowieka.... „I gdybym miał dar proroctwa, znał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę, a wiarę miałbym taką, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczym nie jestem".... (I Kor. XIII)

III

1. Ponieważ łaska uświęcająca idzie ku wszystkim ludziom ze stwórczej Bożej Mocy, a dawana jest przez Chrystusa, który wszystkich przez Miłość cierpiącą odkupił, dlatego każdy człowiek może się odrodzić i zdobyć przywilej przyjaciela i dziecka Bożego.

Ponadto widać jasno, że odrodzeńczy element nie jest uwarunkowany jakimiś ograniczeniami, gdyż człowiek jako człowiek podlega przemieniającej sile miłości i dlatego łatwo wyprowadzić stąd wniosek, że prawda o łasce uświęcającej jest jedną z głównych podstaw chrześcijańskiego i katolickiego uniwersalizmu; wyrazem takiej właśnie intelektualnej postawy będą następujące zdania św. Pawła ap.: „Wszyscy bowiem jesteście Synami Bożymi przez wiarę w Jezusa Chrystusa.... Nie masz Żyda, ani Greka, nie masz niewolnika, ani wolnego , nie masz mężczyzny, ani niewiasty. Albowiem wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie".[56])

2. Zasada odkupieńcza postawiona przez ewangelię t. j. wiara i odrodzeńcza miłość z natury swej nie czyni żadnego wykluczenia i poza tym nie uznaje za czynniki decydujące o wartości człowieka wobec Boga ani różnicy ras, czy narodowości, ani pieniądza i pozycji społecznej, ani wykształcenia i stopnia kultury; w tym właśnie stosunku łaski do człowieka widać jasno, że nauka chrześcijańska głosi prawdę o równości ludzi. Przekonanie, że dla Najwyższej Myśli i Prawdy nie istnieje wzgląd na osoby i że miernikiem wartości jest wewnętrznie tworzone dobro czyli miłość, było i w dalszym ciągu jest siłą ludzkiej kultury. I chyba bliskim będzie prawdy twierdzenie, że u źródeł nowożytnego humanizmu nawet laickiego znajdują się chrześcijańskie idee religijne o miłości Boga ku wszystkim ludziom i o łasce uświęcającej, jaka odradza człowieka. Klasyczny humanizm grecki, czy rzymski był zanadto elitarny i jako taki nie mógł wzbudzać entuzjazmu w masach, dopiero miłość chrześcijańska dała nowe rumieńce życia temu, co było szlachetne w antycznej kulturze.

3. Człowiek odrodzony dzięki Przetwarzającej Miłości bierze pełniejszy udział w bogactwie bytu Bożego, a przez to zdobywa więcej energii i sił duchowych.

Chociaż raczej wiemy, kim Bóg nie jest, niż potrafimy określić dokładnie, kim jest, mimo to jest rzeczą jasną, że Bóg nie może być ograniczony w swej naturze i nie ma w Nim żadnéj bierności i braków. Stwórca jest Działaniem i Czynem i Przyczyną współpracującą ze wszystkimi przyczynami i dlatego i m k t o b l i ż e j B o g a, t y m b a r d z i e j j e s t a k t y w n y, a przez Miłość Przetwarzającą jesteśmy bardzo blisko Stwórcy i czynniejszy bierzemy udział w Bożym życiu. Nowy aktywniejszy rodzaj życia z łatwością da się zaobserwować na przykładach wybitniejszych chrześcijan. Bergson np. dobrze zauważył, że jakiś „olbrzymi prąd życia ogarnął mistyków chrześcijańskich, z czego powstała energia, zuchwałość jakaś, niezwykła siła tworzenia idej i ich realizacji. Pomyślmy o tym, czego dokonali św. Teresa, św. Katarzyna z Sieny, św. Franciszek i tylu innych!“ [57])

Chesterton, który tak umiał wykrywać w chrześcijaństwie i w Kościele, poprzez zmienność i ułomności wyznawców, ciągle aktualne źródło energii, — pisał o wielu agoniach Kościoła i niezwykłych jego zmartwychwstaniach, lub raczej zwrotach ku życiu. Jest czymś zrozumiałym, że odwrócenie się od starczej agonii i przełamanie jednokierunkowości czasu przez powrót od zgrzybiałości do wieku dziecięctwa i młodości ma swoją przyczynę w aktywizmie wiekuistej Miłości.

Aktywność chrześcijaństwa ujawnia się w tym, że w każdym czasie ma ono coś do powiedzenia zmiennemu w swej twórczości człowiekowi i może być konfrontowane z każdą nowoczesnością, uwidacznia się dalej w tworzeniu coraz to nowych dzieł kulturalnych, przecież Kościół przekazywał kulturę antyczną i tworzył nową. Aktywność Kościoła w dziedzinie naukowej, religijnej, moralnej, społeczno-charytatywnej można zostawić do oceny historykowi kultury, należy jednak zwrócić uwagę na działalność istotną Kościoła na tym odcinku życia religijnego, gdzie dla nas nie istnieje możliwość ścisłej obserwacji — jest to odcinek życia wewnętrznego i powstawania świętych. Dopiero czasy eschatologiczne okażą ilość dzieci Bożych i zakres macierzyństwa Kościoła, w którym rodzą się dzieci Boże i zdobywcy Nieskończoności.

Kultura chrześcijańska ma u swych podstaw wszechogarniającą mistyczną Miłość skoncentrowaną w postaci Chrystusa.

Aktywność dzieci Bożych nie powinna ograniczać się do dziedziny religijno-moralnej, człowiek bowiem stanowi całość, a lenistwo praktykowane na pewnych odcinkach życiowej działal-

ności jest znakiem, że miłość albo jest niezwykle słaba, albo w ogóle nie istnieje. Zaniedbanie i lenistwo mogą cechować nawet większe zespoły społeczności chrześcijańskiej, a to w konsekwencji sprowadza zanikanie miłości i rozwój egoizmów i dopiero trzeba pokutnych doświadczeń, aby wywołać tęsknotę za dobrem miłości.

4. Aktywność odrodzonego chrześcijańskiego człowieka posiada wiele przymiotów — bodaj jednak najciekawszym i paradoksalnym jest przymiot głębokiej pokory; u wybitnych świętych, jacy dają nam jaskrawe jej przykłady, spostrzegamy obok aktywności świadomość zależności od Stwórcy i poczucie swej małości i nędzy. Jak to pogodzić? Wiemy, że pokora w sensie chrześcijańskim polega na uznaniu swego rzeczywistego miejsca w świecie i wyprowadzeniu stąd praktycznych wniosków; stanowisko zaś człowieka w świecie według nauki chrześcijańskiej jest w porównaniu do całej przyrody niezwykle górujące, gdyż człowiek, będący częścią przyrody jest obdarzony nieśmiertelnością duszy i ponadto ma godność dziecka Bożego i łączy się z Najświętszą Bożą rzeczywistością przez aktywną miłość, spodziewając się, że kiedyś i jego ludzkie ciało zmartwychwstanie, a on cały zostanie uwieczniony w Bogu. Zależność chrześcijanina od Boga decyduje dlatego o ludzkiej wielkości i stąd chrześcijanin jest i wielki i pokorny. Okrzyk św. Pawła: „Wszystko mogę w tym, który mię umacnia" [59]) jest praktycznym połączeniem świadomości siły i pokory wobec Stwórcy.

Chrześcijańska pokora nie wyklucza wcale wielkiej duszy i słusznej oceny wartości dziecka Bożego biorącego udział w tworzeniu dobra, t. j. realizowaniu w praktyce słów modlitwy: Przyjdź Królestwo Twoje...; nie co innego jak właśnie pokora, umieszczając człowieka na płaszczyźnie zależności od Boga, jest czynnikiem uniezależniającym od innych wartości względnych, które dlatego, że są względne, nie mogą w pełni uzależniać istoty stworzonej nie na ich obraz.

Chrześcijanin będzie dumny ze swego niezwykłego przeznaczenia do wiekuistej chwały t. j. do brania udziału w wewnętrznym życiu Boga — „Patrzcie, jaką miłość okazał nam ojciec, żeśmy nazwani zostali dziećmi Bożymi" [60]) — woła św. Jan, a św. Paweł, gdy rozważa dogmat o Synu Bożym, który w ludzkiej naturze cierpiał i umarł, by ludziom dobro przywrócić — nie może powstrzymać się od okrzyku: „Jeśli Bóg z nami, któż

przeciwko nam.... Bo pewien jestem, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani potęgi, ani moce..... ani żadne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym."[61])

5. Z faktu istnienia Miłości Przetwarzającej zło w człowieku w dobro wynika również postulat optymistycznego realizmu. Fakt realnego zła, z którego może nas wydobyć jedynie miłość, i fakt bardzo realnej walki „światła z ciemnością", kiedy to możliwe są upadki człowieka i jego odejścia od Dobra, żądają od nas ostrożności, wysiłku, a przede wszystkim modlitwy o łaskę większej miłości.

Nauka o miłości cierpiącej i zmartwychwstałej, która posiada moc przetwarzania człowieka, jest ciągle bijącym źródłem chrześcijańskiego optymizmu. Jeśli wierzymy, że Przetwarzająca Miłość pragnie przyjść do każdego człowieka, byleby tylko okazał dobrą wolę i nie stawiał oporu Łasce, to musimy także uznać, że bez naszej winy stawki życia nie przegramy — chrześcijański więc optymizm obok motywów naturalnych przytacza i nadprzyrodzone, a głównie działalność Chrystusa Zmartwychwstałego i Przetwarzającego ludzkie serca.

6. Biorąc za podstawę chrześcijańską naukę o Miłości Przetwarzającej łatwo zauważymy różnicę między humanizmem laickim i chrześcijańskim, ponieważ ten drugi w swych poglądach na ludzką naturę ma ściśle oznaczoną ideę człowieka, co jeszcze bardziej da się powiedzieć o humanizmie katolickim.

Człowiek, istota zmysłowo-duchowa z pogranicza dwu światów, materii i ducha, nosi w sobie zarzewie licznych konfliktów powstałych z tragicznego faktu odejścia od Miłości, która go stworzyła na swój obraz i podobieństwo. Odwrócenie się od Nieskończonego Dobra spowodowało utratę godności dzieci Bożych i osłabienie naturalnych sił umysłu i woli, które nie mogą okazać się w pełni ludzkie bez pomocy Łaski — humanizm zaś laicki, mimo że nie jest poglądem jednolitym, ma jednak wspólną cechę istotną, mianowicie, że człowieczeństwo chce ocalić i rozwijać bez pomocy Łaski. Humanizm katolicki głosi, że człowiek ma się stawać coraz pełniejszym człowiekiem przez uszlachetniającą Łaskę, a ponadto ma zdobywać godność nadludzką, którą w pełni osiągnie dopiero w życiu poza-ziemskim — czego znowu nie uznaje humanizm laicki. Humanizm katolicki nie może i nie chce potępiać humanizmu laickiego za wszystkie jego tezy teoretyczne i osiągnięcia praktyczne — wiele z owych

twierdzeń uważa za swoje własne (np. o wolności i godności człowieka), nie godzi się jedynie z jego charakterem negatywnym w stosunku do uznania Miłości Przetwarzającej, która cały świat przyrody przygotowuje na miejsce dla człowieka, a człowieka przygotowuje do godności nadczłowieka. — A b y ś m y S y n a m i B o ż y m i s i ę s t a l i.

Ks. WINCENTY GRANAT

---

[1]) Ks. Mądr. r. VII, 25—27;
[2]) Ekles. XII, 8;
[3]) j. w. III, 9;
[4]) j. w. IV, 1; Ks. Hioba, r. 42, 12.
[5]) Jo. I, 12 — Pismo św. N. Test. jest cytowane wg. tłum Ks. Dr E. Dąbrowskiego.
[6]) Mt. 18, 11;
[7]) Mt. 18, 14;
[8]) Mt. IX, 11—13;
[9]) Łk. 14, 16—24;
[10]) Łk. 15, 4—10;
[11]) Łk. 15, 6—8.
[12]) Mt. 26, 41;
[13]) Łk. 23, 34;
[14]) Jo. II, 25;
[15]) Tako rzecze Zaratustra — str. 313 — tł. Berent — Warszawa.
[16]) Z prefacji na Boże Narodzenie;
[17]) Jo. XIV, 5;
[18]) Mt. XX, 28;
[19]) Jo. XV, 13;
[20]) Dosłownie u św. Tomasza: „Widzimy, że wiele zła jest w rzeczach. Albo więc Bóg nie może złu przeszkodzić i nie jest dlatego Wszechmogący, albo nie o wszytko się troszczy" (S. th. p. I. qu. 22, a. 2)
[21]) D. B. 1783.
[22]) Les deux sources de la morale et de la religion, str. 235, ed. 16, Paris, 1934.
[23]) j. w. str. 249.
[24]) o. c. str. 256; za przykład służą Bergsonowi tylko mistycy katoliccy.
[25]) o. c. str. 273.
[26]) por. Mt. V, 1—12;
[27]) Jo. III, 5—8;
[28]) Gal. IV, 5—7;
[29]) Ef. III, 14—19;
[30]) II P. I, 4;
[31]) Ef. IV, 15—16;
[33]) Rz. V—VIII;
[32]) Ef. IV, 23—32;
[34]) Jo. XV, 1—8;
[35]) I Kor. XII, 12—31;
[36]) Jo. XV, 14;

[37]) Jo. XIV, 23 K.
[38]) Jo. III, 5—6;
[39]) I Jo. III, 5—6;
[40]) Apok. XXI, 4;
[41]) Tako rzecze Zaratustra — str. 10, tł. Berent;
[42]) Tako rzecze Zaratustra — str. 10, tł. Berent;
[43]) Rz. VIII, 17.
[44]) Podniety miłości Bożej, str. 12, wyd. Kraków, 1944;
[45]) S. th. p. 2a 2 qu. 23 a. 1.;
[46]) 2a 2 qu. II, a. 3.
[47]) Jo. XIV, 23 — przedtym Pan Jezus mówił o przyjaźni Ducha św. „Lecz wy Go poznacie, bo u was pozostanie i w was będzie przebywał".
[48]) I Kor. III, 9;
[49]) I Jo. IV, 20;
[50]) Mt. XXII, 39;
[51]) I Jo. IV, 18.
[52]) Żywy Płomień Miłości, str. 63—64. Wyd. Kraków, 1937.
[53]) Rz. VIII, 26.
[54]) S. th. 2 a 2 ae qu. 23 a. 8.
[55]) Nie jest celem uwag o łasce uświęcającej rozstrzyganie teologicznego sporu, czy łaska uświęcająca różni się realnie od miłości jako cnoty teologicznej; gdy nawet różnicę się uzna, to takie stanowisko nie będzie sprzeczne z poglądem, że łaska uświęcająca jest miłością Przetwarzającą, gdyż miłość jest przymiotem duszy (łaska) i sprawnością władz czyli cnotą.
[56]) Gal. III, 28.
[57]) Deux sources o. c. 243.
[58]) Deux sources o. c. str. 329—343.
[59]) Filip IV, 13;
[60]) I Jo. III, 1;
[61]) Rz. VIII, 38

KS. WACŁAW EBOROWICZ

AKTUALNE ZAGADNIENIA BIBLIJNE W ŚWIETLE ENCYKLIKI HUMANI GENERIS

Zasadniczym zadaniem Kościoła jest głoszenie nauki Chrystusa (Mat. 28, 19—20). Przepowiadając Ewangelię Kościół styka się z różnymi prądami umysłowymi i systemami filozoficznymi. Wiele z tych kierunków wywodzi się z zupełnie odmiennych przesłanek i dlatego zagraża czystości nauki chrześcijańskiej. Wrogie bowiem prądy, albo wprost zwalczają Dobrą Nowinę, albo wpływem swym ogarniają nawet umysły chrześcijan. Pod urokiem modnych teorii niektórzy usiłują je przyswoić chrześcijaństwu, nie bacząc nieraz na niemożliwość takiego zabiegu [1]). W takich chwilach niezbędna staje się interwencja Kościoła, by ustrzec nieskazitelność wiary przed stopniowym zanieczyszczeniem.

W ciągu minionego półwiecza Kościół korzystał z tego prawa. Wystarczy wspomnieć encyklikę Piusa XI „Mit brennender Sorge" z r. 1937. Atoli z pośród tych enuncjacji wybijają się na czoło dwa dokumenty: encyklika Piusa X „Pascendi" z dn. 8. IX. 1907 r. przeciw modernizmowi i encyklika Piusa XII „Humani generis" z dn. 12. VIII. 1950 roku. W ostatnio wymienionym Liście Apostolskim Papież zajmuje się różnymi infiltracjami współczesnego relatywizmu, którego echa szczególnie odbiły się w następujących dziedzinach: stworzenie pierwszego człowieka, darmowość porządku nadprzyrodzonego, tajemnice Wcielenia, Odkupienia i Eucharystii [2]).

U nas te nowe teorie formułowane i szerzone przez tzw. „nową teologię" są na ogół prawie nieznane, z wyjątkiem ewolucjonizmu antropologicznego. Dlatego postanowiliśmy przedstawić wskazania Ojca św. odnoszące się do tego zagadnienia na tle współczesnych poglądów teo-

logów katolickich tak, by ojcowskie napomnienia Papieża nabrały większej wyrazistości. Idąc za tekstem encykliki omówimy naprzód po krótkiej uwadze metodologicznej ewolucjonizm antropologiczny, oraz poligenizm, a wreszcie wspomnimy o biblijnej kwestii rodzaju literackiego i historycznego jedenastu pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju. Problem ten łączy się w pewnym stopniu z zagadnieniem ewolucji.

Encyklika Humani Generis a ewolucjonizm antropologiczny

Na wstępie czwartej i ostatniej części encykliki omawia Namiestnik Chrystusowy bardzo ważną sprawę metodologiczną, mianowicie wartość hipotezy naukowej. Papież, pozostając tylko na terenie religijnym, uznaje za kryterium prawdziwości hipotezy jej bezpośrednią lub pośrednią niesprzeczność z objawieniem. Ojciec św. nakazuje ostrożność w przyjmowaniu hipotez łączących się ze źródłami Objawienia. Tę ogólną zasadę wartościowania hipotez Papież stosuje do różnych poglądów przyrodniczych i historycznych.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć tu podobnie ostrożne zasady oceny hipotez postawione przez wybitnego matematyka francuskiego H. Poincaré. Jest to tym cenniejsze, że francuski uczony obraca się tylko w zakresie swej specjalności, a mimo to dochodzi do niemal tych samych wyników. Oto bieg jego myśli [3]). W naukach przyrodniczych doświadczenie jest jedynym źródłem prawdy i pewności. Jednak, zdaniem Poincaré'go, nie wystarczy obserwować naturę. Aby bowiem powstała wiedza przyrodnicza, musi uczony posługiwać się swoimi doświadczeniami, czyli je uogólniać. Każde zaś uogólnienie jest hipotezą. Ponieważ jest ono tylko hipotezą, zatem „musi być ona zawsze, w miarę możności najwcześniej i, o ile możliwe, najczęściej sprawdzana" [4]). Jeśli sprawdzenie jej nie potwierdzi, wtedy należy ją porzucić bez zastrzeżeń. Wyżej wymieniony matematyk twierdzi, że wyrzeczenie się hipotezy nie powinno sprawiać trudności badaczowi, który ją podtrzymywał. Ta porażka niech go nawet napełnia radością, bo niesprawdzenie się hipotezy dowodzi, że w danym zjawisku, które miała wyjaśnić właśnie jego hipoteza, kryje się coś nieoczekiwanego, nieznanego i nowego.

Można więc z tych poglądów znakomitego matematyka wnioskować, że nie tylko heteronomiczne zasady wiary, ale nawet autonomiczna wiedza żądają od uczonych umiarkowania i trzeźwości w ocenie swych nawet najbardziej umiłowanych poglądów.

Na zakończenie zacytujemy urywek z mowy Piusa XII, wygłoszonej na posiedzeniu Papieskiej Akademii Nauk z dnia 8. II. 1948 r. Urywek ten jest wprost komentarzem analizowanego ustępu encykliki. „Bezustanny jest postęp nauki, jakkolwiek poszczególne okresy jej pochodu nie zawsze idą drogą, która od pierwszych spostrzeżeń i odkryć prowa-

dzi wprost do hipotezy, od hipotezy do teorii, a w końcu do osiągnięcia pewnego i niewątpliwego prawdy. Są bowiem wypadki, w których badanie naukowe opisuje raczej linię krzywą, w których teorie, zdawało się, że opanowały świat i osiągnęły wysoki szczyt pewników nie podlegających dyskusji i zapewniających ich zwolennikom uznanie w świecie naukowym — a potem spadły do rzędu hipotez, by wkońcu spotkać się może z zupełnym zarzuceniem" [5]).

Drugi punkt czwartej części encykliki omawia ważną, oraz ciągle i wszędzie, a nie tylko u nas [6]) dyskutowaną sprawę ewolucjonizmu antropologicznego. Papież krótko wspomniał o tej kwestii na początku encykliki, a bardziej ją oświetla na tym miejscu. Cała wypowiedź Ojca św. porusza trojaki aspekt tego zagadnienia:

1. filozoficzny, 2. przyrodniczy, 3. teologiczny.

Poświęcimy temu potrójnemu ujęciu zagadnienia parę słów. Trzymając się porządku encykliki zastanowimy się nad stroną filozoficzną problemu. Papież mówił o niej w drugim punkcie encykliki w następujących słowach: „Istnieją bowiem zwolennicy teorii tzw. ewolucji jeszcze nie udowodnionej w całej pełni nawet w zakresie nauk przyrodniczych. Uczeni ci, przyjmując ją nieroztropnie i nierozważnie, usiłują objąć nią początek wszystkich rzeczy. Zuchwale sprzyjają oni monistycznemu i panteistycznemu ujęciu wszechświata podlegającego ciągłej ewolucji".

Praojcem opisanego przez Papieża ewolucjonizmu jest Hegel. Mniemał on bowiem, że byt utożsamiony z myślą [7]) „w istocie swej musi być zmienny, gdyż inaczej nie mógłby wyłonić z siebie tej mnogości postaci jaka go cechuje"... przyjmował, iż leży to w naturze bytu, że rozwija się nieustannie i rozwijając wyłania coraz to nowe postacie [8]). Heglizm jest monistycznym, ewolucyjnym idealizmem. Ponadto, ponieważ Bóg jest „pojęciem logicznym, ogólną istotą czyli substancją wszystkich rzeczy" [9]), nauka Hegla jest panteizmem. System Hegla posługuje się metodą dialektyczną. Hegel uznawał prawo dialektyczne (każdej tezie odpowiada antyteza, z której powstaje synteza) za naczelne prawo nie tylko logiki, ale i metafizyki zgodnie ze swym idealizmem. Chociaż „filozofia heglowska jako system metafizyczny, ideologiczny upadła, ale pozostawiła po sobie metodę ewolucjonistyczną, która przeszła do badań pozytywnych, lub jeżeli była już w nich stosowana, to została wzmocniona. W naukach przyrodniczych jak w geologii poczęto już ustalać okresy rozwojowe ziemi, w biologii zwrócono uwagę na następujące po sobie fazy i uzyskane w ten sposób wytłumaczenie faktów, wybiegające poza zwykły opis. Osiągnięcia metody ewolucjonistycznej genetycznej w naukach przyrodniczych były pokaźne i otwierały nowe możliwości i pobudziły one Herberta Spencera do wypracowania filo-

zofii łączącej pozytywizm z ewolucjonizmem. Według tej filozoficznej koncepcji wszystkie przedmioty, nie wyłączając zjawisk psychicznych i społecznych, należy badać według tej samej metody pozytywnej, stosowanej w naukach przyrodniczych, a mającej za zadanie opisywać faktyczne zjawiska i relacje między nimi zachodzące. Nie ma powodu do czynienia wyjątków dla zjawisk psychicznych czy społecznych, dla zjawisk religijnych lub etycznych, które są wycinkiem spośród zjawisk psychicznych" [10]). Monizm Spencera jest monizmem naturalistycznym — jak zauważa prof. Tatarkiewicz [11]). Należy przypomnieć, że „głównym jego (tzn. Spencera) poprzednikiem, jakby współtwórcą jego ewolucyjnego systemu, był Darwin. Dopiero przy pomocy jego biologicznej teorii Spencer mógł przeprowadzić swą ogólną koncepcję filozoficzną" [12]).

W ten sposób wpływ przyrodnika Darwina na filozofa Spencera ułatwia nam przejście do przyrodniczej strony problemu. Albowiem z naszych paru uwag łatwo poznać przeciwstawne dążenia szkicowanych systemów filozoficznych i nauki chrześcijańskiej tak, iż nie musimy w naszym pobieżnym ujęciu zbijać poszczególnych pozycyj przeciwników filozoficznych.

Przechodząc do strony przyrodniczej zagadnienia (drugi pkt. IV części encykliki) Papież zastrzega się, że dla katolika problem ewolucji antropologicznej może ograniczać się tylko do pochodzenia ciała z już istniejącej i żyjącej materii. „Wiara bowiem katolicka nakazuje nam uznać bezpośrednie stworzenie dusz przez Boga". Dopiero co przytoczone zdanie wymaga szczegółowszego rozpatrzenia. W całym tym punkcie Papież mówi o pochodzeniu ciała pierwszego człowieka. Jeżeli chodzi o powstanie duszy ludzkiej, Papież, jak widzieliśmy, powołuje się na kreacjonizm, który jest twierdzeniem teologicznie pewnym [13]), nie myślimy bowiem, by encyklika dała temu poglądowi wyższą kwalifikację teologiczną. Kreacjonizm zaś odnosi się do duszy człowieka obecnie żyjącego oraz do duszy protoplasty rodu ludzkiego. Z tego więc wynika, że kreacjonizm nie jest argumentem skierowanym głównie i wprost przeciw skrajnemu ewolucjonizmowi wyprowadzającemu duszę i ciało ludzkie od zwierząt. Dowodem decydującym przeciw skrajnym transformistom (np. Darwinowi, Haeckel'owi, Huxley'owi) jest duchowość duszy ludzkiej [14]). Zasada przyczynowości, która zdaniem Piusa XII (zob. III część encykliki) zachowuje pełną swą wartość, nie pozwala na wyprowadzenie duchowej duszy ludzkiej z duszy zwierzęcej, która, będąc wewnętrznie zależną od materii, nie jest duchowa. Skoro Papież pominął ten argument, należy przyjąć, że rozumuje a minori ad maius. Jeżeli nawet dziś Bóg stwarza bezpośrednio dusze ludzkie, to tym bardziej stworzył bezpośrednio duszę pierwszego człowieka, jaki istniał na ziemi.

Nie może być zatem mowy o jakimkolwiek skrajnym ewolucjonizmie antropologicznym. Ponieważ Ojciec św. ocenia transformizm przede wszystkim z punktu widzenia wiary, dlatego Jego sposób argumentacji jest najbardziej celowy, tym więcej, że łatwo go oprzeć o powagę Pisma św. (Rozdz. 2, 7). Należy wreszcie zauważyć, że niektórzy przedstawiciele filozofii chrześcijańskiej [15]) w analogiczny sposób rozwiązują problem postawiony przez skrajny ewolucjonizm.

Ojciec św. zacieśnia zatem sprawę ewolucjonizmu antropologicznego do powstania ciała pierwszego człowieka i w tej kwestii z niezwykłą zwięzłością i jasnością, oceniając bardzo rozpowszechnione wśród przyrodników poglądy ewolucjonistyczne [16]), wspomina o podstawowym argumencie transformistów — o znaleziskach paleontologicznych i rozumowaniu, które z owych znalezisk się wyprowadza. Owym odkryciom dał początek E. Dubois, który w r. 1891—92 odkrył na Jawie szczątki istoty, nazwanej przezeń Pithecanthropus erectus. W następnych latach natrafiono na dalsze szczątki pierwotniaków i to w różnych częściach świata (np. w Azji, Europie, Afryce) [17]).

Oczywiście zwolennicy ewolucji, godzi się to przypomnieć, odwołują się do anatomii porównawczej, embriologii porównawczej i biogeografii. Z tych wszystkich przesłanek wyciągają wnioski o zwierzęcym pochodzeniu przynajmniej ciała ludzkiego. Sami wszakże transformiści widzą pewne trudności tkwiące w swej teorii [18]). Samo zaś rozumowanie wysnute ze znalezisk szwankuje pod względem mocy dowodowej. Albowiem „wszystkie argumenty przyrodnicze nie są dowodem w ścisłym znaczeniu za stanowiskiem ewolucjonistycznym. Wszak chodzi tu o formę rozumowania redukcyjnego, jaką jest tłumaczenie, które w rzeczach konkretnych zawsze będzie obciążone jakąś dozą niepewności". Takim jest pogląd obu katolickich zwolenników umiarkowanego ewolucjonizmu o. Sertillangesa [19]) i ks. Kłósaka [20]).

Nie tylko filozof i przyrodnik, ale i teolog nie może przejść obojętnie obok ewolucjonizmu antropologicznego, szczególnie umiarkowanego, który w trzech punktach zahacza o teologię i biblistykę [21]).

a) Ewolucjonizm podważa przynajmniej częściowo monogenizm.

b) Ewolucjonizm domaga się szczególnej interpretacji następujących tekstów Pisma św.: Ks. Rodz. 1, 26—28; 2, 7; 2, 21—22, w których jest mowa o stworzeniu pierwszych ludzi przez Boga.

c) Należy wreszcie uzgodnić orzeczenie Komisji Biblijnej z dnia 30. VI. 1909 r. o historyczności trzech pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju z dostosowaną do postulatów ewolucjonizmu egzegezą wyżej wyliczonych tekstów Pisma św.

Tak wyrażają się punkty styczne między teologią a ewolucjonizmem od strony fachowej, od strony zaś programowej w jaskrawym świetle ukazała je „nowa teologia". Daniélou bowiem wzywa do stworzenia nie tylko chrześcijańskiej wizji świata, ale i do skonstruowania antropologii opartej zarówno na Piśmie św. i Ojcach Kościoła [22]), jak i na uwielbianym o. Teilhard de Chardin, którego wiarę ewolucjonistyczną podnosi w tymże artykule ten sam Daniélou [23]).

Wobec tego i teologiczna strona zagadnienia ewolucji znalazła swe echo w encyklice Humani generis. Papież poświęca sprawie poligenizmu następny ustęp czwartej części encykliki. W analizowanym zaś urywku teologiczny aspekt problemu sprowadza się do zagadnienia pochodzenia ciała ludzkiego w świetle źródeł Objawienia ze szczególnym uwzględnieniem Pisma św. Papież swoim zwyczajem dotyka tylko tego problemu, udzielając pewnych wskazówek uczonym katolickim. Dlatego naprzód wskażemy na dzisiejsze poglądy biblistów i teologów katolickich, a potem sprecyzujemy stanowisko Piusa XII w sprawie umiarkowanego ewolucjonizmu antropologicznego. Jeżeli nawet przyrodnicy, zdecydowani zwolennicy ewolucji, widzą, według słów prof. Mydlarskiego, pewne „zagadki" w tej teorii, tym bardziej jest zrozumiałe, że wśród biblistów katolickich, mimo tolerancyjnego stanowiska względem ewolucji, daleko do całkowitego uzgodnienia egzegezy z tą teorią. Jednym z najwybitniejszych przeciwników ewolucjonizmu umiarkowanego spośród egzegetów jest kard. E. Ruffini, autor głośnego dzieła: „La teoria della evoluzione secondo la scienza e la fede", (Roma 1948). Po przeciwnej stronie barykady znajdują się np. P. Pirot [24]), kard. Liénart [25]). Na polskim terenie, gdzie ewolucjonizm jest jednym z głównych tematów dyskusji między katolikami a marksistami, nie brak oddźwięków obu wyżej wymienionych stanowisk. I tak o. K. Winiarski C. SS. R. pisze: „Ponieważ dowody przyrodnicze, które są w hipotezie transformizmu zasadniczymi np. w dziedzinie biologii, morfologii itp. logicznie prowadzą do poligenizmu, a opierają się jedynie na podobieństwie, czyli, że transformizm w tej formie w jakiej dzisiaj jest podawany, poza pewność hipotezy nie wyszedł, dlatego uważamy, że logicznie nie da się pogodzić z nauką katolicką" [26]). Natomiast ks. Dąbrowski głosi: „Należałoby raczej zbadać dokładnie to, co nauki przyrodnicze uważają za swoją trwałą zdobycz i raz jeszcze skonfrontować te wyniki ze źródłami Objawienia. Okazać się bowiem może, że narastający konflikt ma swoją podstawę np. nie w Piśmie św., ale w wadliwej jego interpretacji, co doprowadzi konsekwentnie do uzgodnienia pozycji z wykluczeniem gwałtownych sporów i hałaśliwych dyskusji" [27]). Ks. Jakubiec ze swej strony dodaje: „W tym samym duchu (sc. co ks. Dąbrowski) pra-

gnę dorzucić kilka uwag, które mogą przyczynić się do wniknięcia w treść zawartego w Księdze Rodzaju 2, 5—24 opisu pochodzenia mężczyzny i niewiasty"[28]).

Jakie są argumenty obu stron?

Konserwatyści (np. o. Winiarski) powołują się na to, że:

a) Dowody transformizmu czerpane z biologii i morfologii porównawczej prowadzą do poligenizmu, który jest sprzeczny z nauką Pisma św., o czym więcej przy omawianiu poligenizmu.

b) Interpretacja Ks. Rodz. 2, 7 stanowi trudność, na jaką napotyka teoria transfomizmu. Tekst dosłownie na język polski należy przełożyć następująco: „i utworzył Pan Bóg człowieka z mułu ziemi i tchnął w nozdrza jego oddychanie żywotne i stał się człowiek istotą żyjącą" (tekst hebrajski: Wajehi haadam lenefesz chaja). Nazwą „nefesz chaja" oznaczone są również zwierzęta i nie można tłumaczyć przeto tego wyrażenia tak, jak chce o. Ceuppens: „i stał się Adam osobą żyjącą", na co dzisiaj prawie wszyscy egzegeci zgadzają się. Jeżeli więc jest prawdą, że w chwili otrzymania duszy Adam staje się istotą żyjącą, czyli innymi słowy staje się zwierzęciem jak powiada D. Jacob (Das erste Buch der Tora, Genesis, Schocken V. 1934), to logicznie wnioskujemy, że przed tym aktem nie był żyjący, czyli że nie mógł pochodzić drogą ewolucji od zwierzęcia"[29]).

c) W oparciu o orzeczenie Komisji Biblijnej z dnia 30. VI. 1909 r. o dosłownym, historycznym znaczeniu trzech pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, należy uznać historyczność opisów pochodzenia pierwszej kobiety od pierwszego mężczyzny (Rodz. 2, 21—22).

Kard. E. Ruffini na poparcie dokładnej wykładni tego tekstu powołuje się na Mt. 19, 4; I Kor. 11, 8—12; Ef. 5, 22 ns, oraz na jednomyślną zgodę Ojców Kościoła. „Z tego tytułu hipoteza transformizmu umiarkowanego zacieśnia się do powstania samego tylko Adama, co jest oczywiście nie do przyjęcia z punktu widzenia przyrodniczego"[30]).

Katoliccy zaś zwolennicy ewolucjonizmu umiarkowanego argumentują w sposób następujący. Przyjmują oni pogląd większości biologów i paleontologów o konieczności przyjęcia ewolucji jako postulatu wszelkiego naukowego badania[31]), a zarazem biorą na siebie trud wyjaśnienia wyżej wymienionych tekstów biblijnych zgodnie z teorią ewolucji.

I. W myśl tych założeń egzegeza wyżej cytowanego zdania Ks. Rodz (2, 7) będzie różną od interpretacji konserwatystów. Uderza to szczególnie przy wyjaśnieniu końcowych słów tego zdania: „I stał się człowiek duszą żyjącą". Posłuchajmy w tej sprawie ks. Dąbrowskiego[32]): „Podkreślić trzeba, że nie chodzi tu bynajmniej o przeciwstawienie (jak

gdyby przedtem człowiek nie był „duszą żyjącą") — ale po prostu o stwierdzenie, że człowiek został stworzony. Charakterystycznym jest, że w brzmieniu hebrajskim jest mowa właśnie o człowieku jako takim, a nie o bycie żyjącym w ogóle. Wskazuje na to wyrażenie „dusza żyjąca" po hebrajsku „lenefesz hajjah" — co znaczy tyle co „osoba". I np. P. F. Ceuppens nie waha się przetłumaczyć wprost „persona vivens" [33]).

II. Stworzenie Ewy (Rodz. 21—22) z żebra Adamowego jest zagadnieniem pilnie roztrząsanym przez katolickich zwolenników ewolucji. Przyjęcie bowiem dosłownego wyjaśnienia tego miejsca Pisma św. stanowiłoby niczym nie uzasadniony wyłom w ewolucji antropologicznej. W tym stanie rzeczy bibliści sprzyjający ewolucji muszą się uciec do symbolicznego tłumaczenia sceny stworzenia Ewy. Wszedłszy na tę drogę przedstawiciele tego kierunku są w zasadniczych poglądach między sobą zgodni, uzupełniając się nawzajem. Wywnioskować to łatwo z wypowiedzi np. ks. ks. Dąbrowskiego [34]), Dubarle'a [35]), Jakubca [36]) i Klawka [37]). W wyżej wymienionym opisie stworzenia Ewy widzą pod osłoną zachodzących metafor następujące przewodnie myśli autora natchnionego:

a) Tożsamość natury zachodząca u mężczyzny i niewiasty.

b) Pewna zależność niewiasty od mężczyzny.

c) Różnica płci ma na celu małżeństwo.

Pozatym owi autorzy wyjaśniają stworzenie pierwszej niewiasty przy pomocy bliższego i dalszego kontekstu. „Sen, który Bóg zesłał na Adama (w czasie stwarzania Ewy) wskazuje na źródło ostatnie, z którego zdaniem autora biblijnego opowiadanie pochodzi. Jest nim widzenie senne, jakie Adam przeżywał i dzięki któremu sobie uświadomił, że kobieta jest równą mu pomocnicą" [38]). Kontekstem dalszym jest relacja o upadku pierwszych rodziców, w którym właśnie tak wybitną a ujemną rolę odegrała pierwsza niewiasta. „Temu też należy przypisać przedstawienie niewiasty jako córki człowieka" (mężczyzny), z którego ciała według biblijnej przenośni została stworzona" [39]). Wreszcie zwolennicy takiej wykładni wymienionego urywku Księgi Rodzaju widzą w nim po prostu jakoby „pierwszy traktat filozoficzny o niewieście" [40]). Znajdują bowiem w nim i w jego kontekście szereg refleksji na temat niewieści. Ks. Klawek ponadto dopatruje się w omawianym tekście Pisma św. „najstarszą obronę kobiety, której dola nieraz na wschodzie była ciężka, a autor nasz (tzn. Ks. Rodz.) chce współczesnym przypomnieć, jak wielką jest godność i dostojeństwo kobiety z woli Stworzyciela" [41]). Rzecz oczywista, że zachodzą pewne różnice w ocenie wyżej wymienionego opisu biblijnego u różnych autorów — zwolenników ewolucji.

I jeżeli ks. Dąbrowski powołując się na Bea pisze: „Pierwsza nie-

wiasta (Ewa) stworzoną została z pierwszego człowieka w sposób tajemniczy, czekający jeszcze na swe rozwiązanie" [42]), to ks. Jakubiec, jakeśmy to wyżej zaznaczyli, zowiąc Rodz. 2, 21—22 traktatem filozoficznym o niewieście, konkluduje: „Na próżno więc doszukiwalibyśmy się w opisie stworzenia niewiasty jakiegoś tajemniczego pochodzenia jej od mężczyzny" [43]). Widać stąd, że problem ten nie został jeszcze dla samych zwolenników ewolucjonizmu rozwiązany bez reszty.

III. Katoliccy ewolucjoniści wyjaśniają również w dogodny dla siebie sposób orzeczenie Komisji Biblijnej z dn. 30. VI. 1909 r. Uważają oni bowiem, że w hipotezie ewolucjonistycznej sprawdza się również wymagane przez owo orzeczenie „szczególne stworzenie człowieka". Wystarcza bowiem odnieść to wyrażenie tylko do duszy ludzkiej, która w przeciwstawieniu do duszy roślinnej i zwierzęcej została bezpośrednio stworzona przez Boga. Wielu jednak z katolickich ewolucjonistów czyni jeszcze jeden krok dalej po linii uzgodnienia ewolucji z tradycyjnym poglądem. Bóg ich zdaniem nie tylko bezpośrednio stworzył duszę ludzką, ale bezpośrednio wkroczył w tworzenie się ciała ludzkiego w tym znaczeniu, iż uczynił materię ożywioną lub nieożywioną zdatną na przyjęcie duszy ludzkiej, szczególnej formy ciała ludzkiego. Ks. Klawek stwierdza: „Jeżeli chodzi o kwestie wyżej poruszone (tzn. stworzenie Adama i Ewy) to Pius X zgodził się wyraźnie na częściowo metaforyczną interpretację pierwszych trzech rozdziałów Księgi Genesis" [44]).

Warto wreszcie wspomnieć o nieznanej u nas opinii P. F. Ceuppensa [45]), która zajmuje pośrednie kompromisowe stanowisko między konserwatyzmem, a umiarkowanym ewolucjonizmem. Uczony dominikański w sprawie stworzenia ciała pierwszego mężczyzny skłonny jest przyjąć pewną ewolucję, opierając się na tym, że Pismo św. nie mówi nam nic o sposobie, w jaki Bóg dokonał tego dzieła. Co więcej, hagiograf wielokrotnie pomija przyczyny drugie, by przypisać Przyczynie pierwszej całe dzieło np. bezpośredniego stworzenia wszystkich gatunków roślin i zwierząt (Rozdz. II, 5; IX, 19), dlatego można analogicznie pojąć opis stworzenia pierwszego człowieka (Rodz. II, 7). Ponadto pisarz św. nie mówi, że ciało pierwszego człowieka przez wlanie duszy ożyło będąc przedtem nie ożywione, ale że człowiek stał się osobą żyjącą, czyli że otrzymał życie ludzkie. Ciało pierwszej niewiasty zostało bezpośrednio stworzone przez Boga z ciała pierwszego mężczyzny, na co właśnie wskazuje metafora o żebrze Adama (Rodz. II, 23). Wobec tego wszelka ewolucja odnośnie ciała pierwszej kobiety jest wykluczona. Ceuppens powołuje się na orzeczenie Komisji Biblijnej o stworzeniu pierwszej niewiasty z mężczyzny, który to dekret rozumie tak jak konserwatyści z wyjątkiem żebra Adamowego. Egzegeza Rodz. II, 21—22, jaką proponuje Ceuppens

zbliża się do tradycyjnej wykładni z wyjątkiem metaforycznego wyjaśnienia żebra Adamowego, a oddala od stanowiska ewolucjonistów katolickich. Również uczony dominikanin odrzuca możliwość powstania ciał innych ludzi drogą ewolucji ze względu na pochodzenie wszystkich ludzi od Adama i Ewy. Na kompromisowym stanowisku Ceuppensa polega oryginalność jego teorii. Jego opinia oczywiście wyda się konserwatystom za postępowa, a postępowcom za konserwatywna. Jedni [46]) i drudzy będą jej zarzucać niezgodność z naukami przyrodniczymi. Na to jednak można odpowiedzieć, że przyrodnicy w tej dziedzinie obracają się tylko w sferze hipotez. Niezaprzeczonym plusem poglądu Ceuppensa jest uniknięcie niebezpieczeństwa poligenizmu, które czyha na każdego zwolennika ewolucji. Ewolucjoniści katoliccy zdają sobie sprawę z wielkiej trudności pogodzenia poligenizmu ze źródłami Objawienia i dokumentami Kościoła, tak, iż ów rozdźwięk urasta w oczach Teilhard de Chardin'a [47]) do tymczasowej niezgodności nauki i wiary w dziedzinie transformizmu.

Kard. Liénart daje praktyczną receptę na rozwiązanie tej trudności w tych słowach: „Liczni są uczeni naszych czasów, którzy odrzucają poligenizm jako pozbawiony poważnych podstaw i którzy podtrzymują jako bardziej naukowo uzasadniony „monogenizm", głoszący jedność pochodzenia rodzaju ludzkiego. W tych warunkach musimy strzec się przed przedwczesnym propagowaniem zagadnień doktrynalnych, których rozwijająca się nauka nie stawia i może nigdy nie postawi. Byłoby absurdem, gdybyśmy twierdzili, że potrafimy dostarczyć rozwiązań definitywnych drogą antycypacji, bo nikt nie może nawet marzyć o poprawnym rozwiązaniu problematu bez uprzedniego poznania danych konkretnych i precyzyjnych. Jedyną postawą, którą winien zająć chrześcijanin, jest oczekiwanie na ostateczne wypowiedzi nauki" [48]).

Niewątpliwie pozytywnym wynikiem badań katolickich zwolenników ewolucjonizmu jest stwierdzenie, że „Pismo św. ani ewolucjonizmu (oczywiście w sensie teistycznym i umiarkowanym) nie popiera, ani go też nie uchyla, że po prostu postulaty te do zgoła innej należą dziedziny i na innej płaszczyźnie muszą być rozpatrywane" [49]). Z wielu stron się słyszy, (tego zdania np. jest Ceuppens), [50]), że o sposobie stworzenia pierwszych ludzi z samego tekstu nic pewnego wywnioskować nie można. W związku z tym warto jednak przypomnieć słowa encykliki Humani generis, która wymaga, by w badaniach nad problemem ewolucji liczono się ze źródłami Boskiego Objawienia.

Przyjrzeliśmy się problemowi ewolucji z trojakiego punktu widzenia. Na zakończenie zauważymy, że obok wyżej wymienionych argumentów również i filozofia neoscholastyczna zabiera swój głos w sprawie ewo-

lucji. Przedstawiciele tejże filozofii, a przeciwnicy ewolucji przypominają, iż połączenie duszy ludzkiej z żyjącym organizmem zwierzęcym może się dokonać tylko za cenę unicestwienia duszy zwierzęcej, która jest formą materialną tego organizmu zwierzęcego. Miejsce jej bowiem ma zająć forma ciała ludzkiego: dusza niematerialna. Dziwne zatem zastąpienie jednej formy drugą musi być skutkiem niezwykłej interwencji Bożej [51]). Choćbyśmy nawet nie przyjęli „scholastycznej formy", to jednak musimy uznać jakiś pierwiastek życiowy istniejący zarówno w zwierzęciu jak i w człowieku, a ponieważ odrzucamy ewolucję co do duszy, powinniśmy więc przyjąć dokonane przez wszechmoc Bożą usunięcie zwierzęcego pierwiastka życiowego i wprowadzenie na jego miejsce duszy ludzkiej. Tradycyjny pogląd rozciągał szczególne wkroczenie władzy Bożej na stworzenie ciała i duszy ludzkiej, a umiarkowany ewolucjonizm musi z konieczności przyjąć ową interwencję odnośnie samej duszy ludzkiej.

Z drugiej strony katoliccy zwolennicy ewolucji powołują się na tzw. „prawo ekonomii" [52]), które głosi, że „nie należy wprowadzać Boga w wyjaśnianie przyrody, jak długo do jej wyjaśniania wystarczają przyczyny drugorzędne" [53]). I wobec tego utrzymują, że „ponieważ... jest rzeczą możliwą, żeby na drodze ewolucji naturalnej ciało ludzkie rozwinęło się z jakiegoś niższego organizmu zwierzęcego, dlatego też musimy uważać za rzecz najbardziej prawdopodobną, że ciało pierwszego człowieka nie zostało ukształtowane bezpośrednio przez Boga z materii nieorganicznej, jak głosi teza tradycyjna, lecz, że wywodzi się z jakiegoś organizmu zwierzęcego [54]). Argument ten słusznie mówi tylko o możliwości i prawdopodobieństwie ewolucji, nie może on bowiem dać prawdziwej pewności o tym, co Bóg rzeczywiście zrobił, gdyż sprawa ta należy wyłącznie do Objawienia, które jedynie może nas pouczyć o tym, co Bóg w danym wypadku w rzeczywistości uczynił.

Z tego wszystkiego wynika, że teza tradycyjna głosząca bezpośrednie stworzenie ciała ludzkiego, a nie samej tylko duszy, wydaje się doraźnie bezpieczniejszą z tym jednak zastrzeżeniem, że w przyszłości może się okazać nawet szkodliwą [55]). Z drugiej zaś strony umiarkowany ewolucjonizm, aczkolwiek obecnie zdaje się być skrajnym, może w przyszłości stać się jedynie możliwym rozwiązaniem zagadnienia. Ojciec św. zamieścił szereg ostrzeżeń i wskazówek dla uczonych katolickich w sprawie przyjmowania umiarkowanego ewolucjonizmu antropologicznego. Papież jest zdania, że ewolucjonizm jest tylko teorią, jeszcze nie w całej pełni udowodnioną, i dlatego nakazuje jak największy obiektywizm i trzeźwość w ocenie dowodów przemawiających za nią. Pius XII. powołuje się na swoje przemówienie, wygłoszone w dniu 30. XI. 1941 r.

do członków Papieskiej Akademii Nauk, w którym powiedział, co następuje: „przeróżne badania paleontologów, biologów i morfologów, dotyczące innych problemów odnoszących się do początku człowieka, nic jasnego i pewnego dotąd nie przyniosły. Nie pozostaje więc nic innego, jak pozostawić przyszłości odpowiedź na pytanie, czy wiedza, pod światłem i kierunkiem Objawienia, będzie mogła kiedyś dostarczyć pewnych i ostatecznych poglądów na przedmiot tak wielkiej wagi" [56]).

Pius XII a poligenizm.

Gdzie jak gdzie, ale właśnie w tym punkcie encykliki uwydatnia się jasno logiczny układ omawianych problemów. Widzieliśmy już bowiem wyżej, wyjaśniając zagadnienie ewolucji, jej ścisły związek z poligenizmem, czyli z wieloczłonowym pochodzeniem ludzkości. Poligenizm może być preadamityzmem lub koadamityzmem. Dawniej pierwsza z wymienionych odmiana poligenizmu, czy to jako preadamityzm absolutny, czy to względny, miała swych zwolenników. Wyznawcą pierwszego był Fabre d'Envieu. Drugiego trzymali się Orygenes, Julian Odstępca, Giordano Bruno, Izaak de la Peyrère. Koadamityzm unowocześniony jest dziś najbardziej rozpowszechnioną formą poligenizmu, przyjętą przez prawie wszystkich transformistów. Według nich ludzkość składa się z rozmaitych grup, ras, wywodzących się od równych przodków. Dzisiejsi poligeniści dopuszczają jednak różnice chronologiczne i terytorialne w powstawaniu odmiennych ugrupowań ludzkich [57]). Dlatego też ich poligenizm nie jest jednoznaczny z dawnym koadamityzmem jak mniema Lercher [58]). Poligenizm zaprzecza albo jedności gatunkowej albo jedności pochodzenia rodu ludzkiego. Hipotezy te szukają uzasadnienia w teorii ewolucji, jednak różnice morfologiczne, fizjologiczne i psychiczne, na jakie powołują się zwolennicy poligenizmu rozróżniają tylko rasy pod względem przypadłościowym, a nie istotnym [59]). Wobec tego poligenizm gatunkowy nie ma poważnego uzasadnienia. Poligenizm pochodzenia głoszący mnogość pierwszych przedstawicieli rodu ludzkiego, identycznych co do gatunku, nie da się oprzeć na żadnych przesłankach naukowo stwierdzonych, ani też same dowody przyrodnicze nie mogą go zbić. W tej sprawie musimy sięgnąć do innych źródeł informacji, a zatem i do Objawienia [60]).

Co o tym mówi Objawienie? Pobieżna nawet znajomość trzech pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju (I, 26, 27 — II, 4 b. — III, 24), świadczy że „Bóg stworzył tylko dwoje ludzi, Adama i Ewę, i że z tych dwojga osób drogą rodzenia pochodzą wszyscy inni ludzie" [61]). Nie pomogą tu wybiegi przeciwników o rzekomo mitycznym charakterze tych rozdzia-

łów „chociaż bowiem opowiadanie biblijne jest popularnym w swej formie, treść jego jednak ma podstawę historyczną" [62]).

Na terenie Nowego Testamentu głosicielem jedności rodu ludzkiego jest św. Paweł. Ewolucjoniści katoliccy doskonale zdają sobie z tego sprawę, czego dowodem są słowa Teilhard de Chardin, który wpływowi nauki Pawłowej o grzechu pierworodnym i Odkupieniu przypisuje podtrzymywanie przez Kościół historyczności Adama i Ewy [63]).

Oczywiście to ostatnie zdanie jest przesadzone, ale jest faktem bezspornym, że monogenizm leży u podstaw antropologii św. Pawła.

Klasycznym tekstem w tym względzie jest 26 w. XVII r. Dziejów Apostolskich: „On (Bóg) to uczynił, że od jednego (człowieka pochodzący) cały rodzaj ludzki zamieszkuje na całej ziemi". Zdanie to jest urywkiem sławnej mowy św. Pawła na Areopagu [64]). Na początku tej mowy [65]) Apostoł narodów podaje prawdziwą naukę o Opatrzności i Naturze Boga, co dla jego epikurejskich i stoickich słuchaczy było bardzo potrzebne. Św. Paweł, wyjaśniając te prawdy wiary chrześcijańskiej zalicza monogenizm do podstawowych tez głoszonej przez siebie nauki. Trzeba jeszcze przypomnieć, iż jedność rodzaju ludzkiego była sprzeczna z staro-greckimi mitami [66]).

Przechodząc do dwóch wyjątków z listu św. Pawła do Rzymian (V, 12—19) i do Koryntian (XV, 21—22; 45—49), należy sobie uświadomić, iż chrystologia i soteriologia Pawłowa, oraz oryginalna koncepcja Apostoła narodów o paraleli między pierwszym Adamem-grzesznikiem, a drugim Adamem-Jezusem Chrystusem nasuwała problem pochodzenia całego rodu ludzkiego. Przyjrzyjmy się wymienionym tekstom. Św. Paweł w V r. swego listu do Rzymian, omawiając pewność naszej nadziei zbawienia, rozwodzi się nad pierwszym przeciwnikiem zbawienia naszego tj. grzechem. Wszakże Apostoł krzepi nas nadzieją zwycięstwa jakie nad grzechem odniósł dla nas Jezus Chrystus, który dla dokonania tego dzieła przyszedł na świat [67]). W tym właśnie miejscu w w. 12 wskazuje Apostoł na genezę grzechu. „Przez jednego człowieka wszedł grzech na świat, a przez grzech śmierć, i tak na wszystkich ludzi śmierć przeszła, bo wszyscy zgrzeszyli". Kim jest ten pierwszy człowiek? Jest nim i być może tylko Adam. Zarówno egzegeza katolicka, jak i niekatolicka zgodnie widzi w wyżej cytowanym wersecie aluzję do Rodz. III, 1—24 [68]). Co więcej, cała współczesna Pawłowi teologia żydowska upatruje w Adamie sprawcę naszych złych skłonności, jak tego dowodzi IV apokryficzna ks. Ezdrasza i Apokalipsa Barucha [69]).

Egzegeza innych także tekstów Pawłowych jasno dowodzi, że monogenizm jest konieczną przesłanką rozważań Apostoła o grzechu pierworodnym i odkupieniu.

Jaka jest wymowa dokumentów Kościoła? Jest ona podobna do stanowiska św. Pawła. O samym mongenizmie, czy poligenizmie nie mamy wiele wzmianek, ale znowu monogenizm jest podstawą orzeczeń trydenckich o grzechu pierworodnym. „Synod Koloński (tit. IV. c. 14) przeciwne zdanie (poligenistów) nazywa wyraźnie i zupełnie sprzecznym z Pismem św." — pisze ks. Biskup C. Sokołowski [70]). Wśród schematów przygotowanych określeń dogmatycznych na Soborze Watykańskim był i monogenizm, lecz do określenia nie doszło [71]). Sobór trydencki w kanonach o grzechu pierworodnym (sesja V, kan. 1—4) uczy, że grzech Adama zaszkodził nie tylko jemu, ale i jego potomstwu. Grzech ten przechodzi na potomków drogą naturalnego rodzenia, bo „ludzie nie rodziliby się niesprawiedliwymi, gdyby nie rodzili się z nasienia Adamowego" — według wyrażenia Soboru trydenckiego [72]).

Teolodzy z pewnymi odchyleniami kwalifikują monogenizm. Np. Tanquerey daje, o ile nam wiadomo, najniższą ocenę, pisząc, iż monogenizm jest doktryną pewną i najbliższą wiary [73]). Lercher natomiast uważa, że monogenizm jest przedmiotem wiary boskiej i katolickiej, a nawet pośrednio objawionej (de fide divina, catholica, implicite revelata [74]). Za nim idzie u nas o. Winiarski [75]). Zatem poligenizm jest co najmniej najbliższym herezji (dla Tanquerey'a), a nawet wprost heretyckim (dla Lerchera i Winiarskiego).

Mimo to wszystko dzięki znaleziskom szkieletów prehistorycznych [76]), oraz z powodu rozpowszechnienia się poglądów ewolucjonistycznych, usiłowano ze strony katolickiej „ochrzcić" poligenizm, czyli uzgodnić go z nauką katolicką (m. in. Dubarle czynił takie wysiłki) [77]). Zwolennicy przyswojenia poligenizmu myśli katolickiej z konieczności zastanawiali się nad dwoma zagadnieniami.

1. Czy grzech pierworodny mógł być czynem mniejszego, lub większego zespołu zamiast być aktem jednej pary ludzkiej. W tym wypadku ludzkość pochodziłaby od tego zespołu grzesznego.
2. Czy analogie Pawłowe zachodzące między pierwszym a drugim Adamem nie podkreślają raczej powszechnej i dziedzicznej winy, oraz całkowitego Odkupienia, niż akcentują jedność pochodzenia rodu ludzkiego.

Jaką była wobec tych usiłowań reakcja Kościoła i teologów? Pius XII dwukrotnie wypowiedział się w sprawie mono- czy poligenizmu, raz w formie pozytywnej, a drugi w negatywnej. W pierwszej swej encyklice Summi Pontificatus z 20. X. 1939 r. pisze: „Pismo św. nam wskazuje, jak wszyscy ludzie wyprowadzili swe pochodzenie od pierwszej pary... z kolei Apostoł Narodów staje się heroldem tej prawdy, która jednoczy wszystkich ludzi w jedną wielką rodzinę, zwiastując światu greckiemu, że Bóg uczynił, iż od jednego (człowieka pochodzący) cały

rodzaj ludzki zamieszkuje na całej ziemi. Zakreślił też czasy i granice ich zamieszkania, ażeby wszyscy szukali Pana" (Dz. Ap. XVII, 26—27) [78]). Negatywnie w encyklice Humani generis, kiedy zabrania wiernym wyznawać koadamityzm, oraz pojmować Adama jako pewną mnogość praojców. Ojciec św. uzasadnia to stanowisko niemożnością pogodzenia tych teorii z nauką św. Pawła o grzechu pierworodnym i z orzeczeniami trydenckimi.

Teolodzy również wypowiadają się przeciw tym próbom, jak to dowodzi wielokrotnie cytowane studium Ceuppensa, oraz przeprowadzona egzegeza wyżej przytoczonych tekstów Pisma św. Kard. Liénart w znanym swoim oświadczeniu stwierdza: „Poligenizm obaliłby bez trudu doktrynę o grzechu pierworodnym i o Odkupieniu" [79]). Papież wyraża się oględniej: „Niewiadomo... jak tę teorię można uzgodnić z nauką źródeł objawionej prawdy i dokumentów Urzędu Nauczycielskiego Kościoła o grzechu pierworodnym". Wszakże niewątpliwie poligenizm w pełni udowodniony poważnie zagroziłby jednej i drugiej prawdzie wiary. A jednak jesteśmy przekonani, że między dogmatami wiary a całkowicie pewnymi wynikami wiedzy nie może być żadnej sprzeczności, bo i wiara i wiedza pochodzą od jednego i najdoskonalszego źródła wszelkiej prawdy tj. od Boga. Dlatego „możemy... czekać bez obaw (na ostateczne wypowiedzi nauki), zachowując wiarę w egzystencję grzechu pierworodnego i w rzeczywistość Odkupienia, dotyczącego wszystkich, gdyż sprawy te należą do sfery wiary i żadna nauka nie zdoła ich obalić. Co najwyżej stawiając nas przed faktami gruntownie uzasadnionymi nasunąć może pewne trudności, które jedak w rezultacie doprowadzą, tak jak to było ze sprawą stworzenia, do doskonalszej interpretacji Słowa Bożego" [80]).

Problem literacko-biblijny według encykliki Humani Generis

W końcowym punkcie ostatniej części encykliki Papież gani zbyt swobodną wykładnię ksiąg historycznych Starego Testamentu. Zwolennicy wyżej wymienionej interpretacji zasłaniają się listem Komisji Biblijnej do kard. Suhard'a, arcybiskupa paryskiego, z dnia 16. I. 1948 r. Papież w dalszych słowach przypomina intencje tego dokumentu. Jeżeli uprzytomnimy sobie nieco ów doniosły list Komisji Biblijnej, to przekonamy się, że Namiestnik Chrystusowy niczego nie zmienia z ówczesnych wyjaśnień. Zagadnienia historii pierwotnej przedstawionej w 11 pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju budzą dziś niepokój w sumieniach bardzo wielu, aż do nauczycieli religii w szkołach podstawowych, jak stwierdza twórca owego listu O. J. M. Vosté, sekretarz Komisji Biblijnej [81]). Wobec tego kilku uczonych francuskich przedstawiło Stolicy Św.

dwa zagadnienia do rozstrzygnięcia. Pytania te odnoszą się: pierwsze do krytyki literackiej Pięcioksiągu, a drugie do historyczności jedenastu pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju [82]).

Wobec tego Ojciec św. przekazał te dwa pytania Komisji Biblijnej do gruntownego zbadania i udzielenia odpowiedzi. Wyżej wymieniona Komisja spełniła życzenie Papieża, który odpowiedź zatwierdził i kazał ogłosić. Cały list jest „tylko zastosowaniem encykliki Divino afflante Spiritu do dwóch szczegółowych zagadnień" — pisze Vosté [83]). W encyklice Humani generis Pius XII gani opaczne tłumaczenie pewnego fragmentu listu Komisji Biblijnej. Wyżej wymieniony dokument zapewnia bowiem egzegetom całkowitą swobodę w granicach tradycyjnego nauczania Kościoła, z powołaniem się na powagę Ojca św., który w encyklice Divino afflante Spirito pisze: „Wszyscy zaś inni synowie Kościoła niech pamiętają, że wysiłki tych dzielnych pracowników w winnicy Pańskiej (tzn. biblistów) należy oceniać nie tylko według słuszności i sprawiedliwości, lecz z najwyższą także miłością, i niech się wystrzegają tej niedość rozsądnej dążności do zwalczania lub podejrzewania tego wszystkiego, co nowe, dlatego tylko, że nowe".

Ojciec chrześcijaństwa w omawianym urywku encykliki Humani generis po raz wtóry daje wskazówki, jak należy rozwiązać przedłożone problemy, tylko czyni to w odwrotnym porządku niż list Komisji Biblijnej. Papież bowiem zastanawia się najpierw nad rodzajem historycznym 11 pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, a potem nad źródłami, które wykorzystywali hagiografowie. W sprawie pierwszej Papież streszcza analogiczną część listu Komisji Biblinej. „Zagadnienie formy literackiej pierwszych 11 rozdziałów Księgi Rodzaju jest dużo bardziej ciemne i zawiłe. Forma literacka tych rozdziałów nie odpowiada żadnym z naszych klasycznych rodzajów literackich i też nie może być oceniana w świetle rodzajów literackich przyjętych w literaturze greckiej, łacińskiej lub nowożytnej. Nie można więc w całości odmawiać ani przyznawać wartości historycznej tym rozdziałom. W przeciwnym razie byłoby to stosowaniem do tych rozdziałów norm rodzaju literackiego, pod który rozdziałów tych podciągnąć nie można. Jeżeli odmawia się tym rozdziałom wartości historycznej w klasycznym i nowożytnym znaczeniu tego słowa, należy wówczas uznać, że obecny stan nauki w tej dziedzinie nie pozwala na pozytywne rozwiązanie wszystkich zagadnień zawartych w tych rozdziałach. Pierwszym obowiązkiem, ciążącym na egzegezie naukowej, będzie staranne badanie wszystkich zagadnień literackich, naukowych, historycznych, kulturalnych i religijnych, które rozdziały te nasuwają. Następnie należałoby poddać dokładnym badaniom metody literackie, sposób wyrażania się, psychologię i samo pojęcie

prawdy historycznej u ludów starożytnego Wschodu. Należałoby jednym słowem zebrać bez uprzedzeń cały materiał naukowy z dziedziny paleontologii, historii, epigrafiki i literatury. Tylko w ten sposób możnaby rzucić więcej światła na istotną treść niektórych opowiadań pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju. Aprioryczne twierdzenie, że opowiadania te nie są historią we współczesnym znaczeniu tego słowa, możnaby łatwo zrozumieć w tym sensie, jakoby opowiadania te nie miały w ogóle żadnego znaczenia historycznego i nie zawierały żadnego sensu historycznego, gdy tymczasem podają one w sposób prosty i obrazowy dostosowany do umysłów mniej rozwiniętych, podstawowe prawdy potrzebne do zbawienia, jak również opisy popularne o pochodzeniu i początkach rodzaju ludzkiego i narodu wybranego" [84]).

Nikt nie może zaprzeczyć, że istnieją trudności i to duże w wyjaśnieniu owych jedenastu rozdziałów. „Wypadki opowiedziane w tych rozdziałach miały miejsce poza znaną nam historią. Języki nie zmieszały się, ani nie pomnożyły się z dnia na dzień. Cywilizacja, której istnienie zakładają dzieje Kaina i Abla, jak również rozdział II, jest neolityczną, podczas gdy człowiek pochodzi z epoki paleolitu, zatem jest o wiele starszy. Cały zatem okres przedabrahamowy jest opisany zgodnie z umysłowością o wiele późniejszą od opowiadanych wydarzeń" [85]). Stąd oczywiście racjonaliści wnoszą, że są to opowiadania legendarne, nie mające żadnego związku z historią, Kościół natomiast broni ich historycznego charakteru, oczywiście nie w tym znaczeniu, „aby ich treść mogła wytrzymać kontrolę tej krytyki historycznej, któraby je traktowała jako zeznania naocznych świadków, przekazane nam w formie nienaruszonej" [86]), ale w myśl wyżej przez nas wskazanych zasad, które ostatnio podała encyklika Divino afflante Spiritu i list Komisji Biblijnej. Ponadto już w przedstawieniu tych wypadków spotykamy nie tylko najczystszy i najwznioślejszy monoteizm, co przyznają sami krytycy, lecz także prawdy podstawowe naszej wiary (stworzenie świata przez Boga, cześć Jemu należna, pierwotna sprawiedliwość, pierworodny upadek i obietnica zbawienia). Domyślamy się, że wiele szczegółów tych opowiadań ma znaczenie doktrynalne o wiele wyższe, niż ich szata zewnętrzna. Co więcej, stanowią one dokładnie dostosowany wstęp do następujących opowiadań: naród żydowski pochodzi od Abrahama, który go łączy z Adamem a ten z Bogiem [87]). „Kto uważa te opowiadania za dziecinne baśnie dowodzi, że tych opowiadań wcale nie zrozumiał" [88]). W sprawie źródeł biblijnych Ojciec św. potwierdza i wyjaśnia znane orzeczenia Komisji Biblijnej z dnia 27. VI. 1906 r. i ostatniego listu tejże Komisji do kard. Suharda, gdzie czytamy następujące uwagi: „Odnośnie do układu Pięcioksiągu Komisja Biblijna już w wyżej wymienionym

dekrecie z dn. 27. VI. 1906 r. dopuściła możliwość twierdzenia, jakoby Mojżesz w opracowaniu swego dzieła posługiwał się dokumentami pisanymi albo tradycją ustną oraz istnienia zmian i dodatków pomojżeszowych (Ench. Bibl. 176—177). Nie ma dziś nikogo, ktoby podawał w wątpliwość istnienie tych źródeł, jak również nie przyjmował stopniowego narastania praw mojżeszowych, spowodowanego warunkami społecznymi i religijnymi czasów późniejszych. Rozwój ten widoczny jest również w opowiadaniach historycznych". Jeżeli wyżej wymienione dokumenty papieskie wskazują na okruch prawdy kryjący się w teorii Wellhausen'a [89]) w sprawie źródeł Pięcioksiągu, to encyklika Humani generis, przypominając ostatnio przez Benedykta XV wyłożoną naukę katolicką o użytkowaniu źródeł przez hagiografów [90]), podnosi wartość tych dokumentów, która przerasta wszelkie baśnie mitologiczne. Papież w swej wypowiedzi bierze pod uwagę w ogólności księgi Starego Testamentu, a nie tylko Księgę Rodzaju. Na podstawie tego porównania Ojciec św. stawia wyżej pisarzy biblijnych, niż świeckich autorów starożytnego wschodu, co już uczynił w encyklice Dięino afflante Spiritu [91]). Naszym zdaniem chodzi tu Papieżowi o pragnienie prawdy i prostoty, jakie według Piusa XII, „uwydatnia się w Księgach świętych także Starego Testamentu" [92]). Powyższa opinia nie podważa, jak się nam zdaje, podkreślonej przez Papieża na początku tego punktu encykliki doskonałości metody historycznej stosowanej przez autorów klasycznych, którym pod tym względem nie dorównuje autor Księgi Rodzaju.

Jakie wnioski nasuwają się nam z tej przydługiej analizy ostatniej części encykliki? Te niechybnie, że Kościół szanuje należycie pojętą wolność nauki i jej prawo do rozwoju. Kościół przeto wskazuje najbezpieczniejszą drogę nie tylko dla swych dzieci, ale dla wszystkich poszukiwaczy prawdy. Pouczenia Kościoła w omawianych dziedzinach odznaczają się umiarkowaniem, ostrożnością i mądrością, która każe harmonijnie łączyć stare, ale nie przemijające prawdy z nowymi osiągnięciami geniuszu ludzkiego, tak by ludzkość zmierzała do coraz pełniejszej syntezy stanowiącej cel intelektualnych wysiłków rodu ludzkiego.

KS. WACŁAW EBOROWICZ

---

[1]) R. Garrigou-Lagrange, La structure de l'Encyclique Humani generis, Angelicum, f. 1 (1951) 9—10.

[2]) Tamże, 6.

[3]) La Science et l'Hypothèse, Paris 1909, 167—168.

[4]) Poincaré, op. cit. 178.

[5]) Wg tłum. umieszczonego w Tygodniku Pow. 7. III. 1948, 3.

[6]) Np. we Włoszech, zob. M. Flick, l'Enciclica „Humani generis", Vero

e falso progresso del pensiero cattolico, Civiltà Cat. 16. IX. 1950, 586.

[7]) Stöckl, Weingärtner — Kwiatkowski, Historia filozofii, wyd. III. Kraków 1930.

[8]) W. Tatarkiewicz, Historia filozofii, t. II, wyd. IV, 1949, 275.

[9]) Stöckl — Weingärtner — Kwiatkowski, op. cit. 380.

[10]) P. Chojnacki, Ewolucjonistyczne i relatywistyczne poglądy u podstaw współczesnej umysłowości, Ateneum Kapłańskie, t. 51, (1949), 139.

[11]) Op. cit. t. III, 102.

[12]) Tamże, 99.

[13]) Zob. np. Ad. Tanquerey, Synopsis Theologiae dogmaticae, t. II, wyd. 24, Paris (1933), 524, dlatego mocno przesadza S. Bartynowski, który w kreacjonizmie widzi katolicki dogmat (por. jego Apologetykę podręczną, 141).

[14]) P. Siwek, Psychologia metaphysica, Romae 1948, 491—492. Popularnie przedstawia to Bartynowski, op. cit. 135—136.

[15]) Np. C. Boyer, Cursus Philosophiae, t. II, Desclee (1939), 180—183; F. Kwiatkowski, Filozofia wieczysta, t. II, Kraków 1947, 239—244.

[16]) J. Mydlarski, Pochodzenie człowieka, Warszawa 1948, 12.

[17]) J. Mydlarski, op. cit. 83—84.

[18]) „Przejście... od małpy człekokształtnej do formy już uczłowieczonej stanowi jedną z wielkich dotąd nierozwiązanych zagadek. Drugą taką zagadką jest przejście od stadium małpoluda do stadium człowieka współczesnego". Mydlarski, op. cit. 145.

[19]) Dieu ou rien (t. I, Paryż, 133).

[20]) Czy upadek ewolucjonizmu antropologicznego? Znak nr. 18 (1949), 305.

[21]) K. Winiarski, Teoria transformizmu w świetle teologii biblijnej, Polonia Sacra, t. I, (1948), 331—333.

[22]) Życie umysłowe we Francji, Znak nr 1 (1946), 109. Por. znamienne zdanie E. Dąbrowskiego: „Bodajże naczelnym problemem „nowej teologii" jest pochodzenie człowieka w świetle nauki i źródeł Objawienia", Pochodzenie człowieka według Pisma św., Aten. Kapł. t. 51, (1949), 114.

[23]) Tamże, 94.

[24]) Adam et la Bible, art. w Vigouroux Dictionnaire de la Bible, Supplement I, [illegible].

[25]) Chrześcijanin wobec postępów wiedzy, Znak nr 8.

[26]) Art. cyt., 333.

[27]) Art. cyt., 122—123.

[28]) Adam i Ewa, Aten. Kapł., t. 52, (1950), 115.

[29]) Winiarski, art. cyt. 332—333.

[30]) Tamże, 332.

[31]) Por. Dąbrowski, art. cyt. 116.

[32]) Art. cyt. 129.

[33]) Quaestiones selectae ex historia primaeva, Roma ed. 2, 1948, 171.

[34]) Art. cyt., 130—131.

[35]) Wg streszczenia jego artykułu dokonanego przez K. A., p. t. Myśl religijna w Księdze Genezy, Znak nr 19 (1949), 433.

[36]) Art. cyt., 118—119, 121—123.

[37]) Adam i Ewa. Tyg. Pow. 9. III. 1947, 7.

[38]) Klawek, l. c.

[39]) Klawek, tamże.

[40]) Jakubiec, art. cyt. 122.
[41]) L. c.
[42]) L. c.
[43]) L. c.
[44]) L. c.
[45]) Le Polygénisme et la Bible, Angel. vol. XXIV, (1947), 20—32.
[46]) Por. np. Winiarski, art. cyt. 332.
[47]) Que faut-il penser du Transformisme? Rev. des Questions scient. v. 17. (1930), 95.
[48]) Art. cyt. 52.
[49]) Dąbrowski, art. cyt. 132—134.
[50]) Art. cyt., 27.
[51]) J. Rostworowski, Początek pierwszego człowieka, Przegląd Pow. t. 227 (1949), 311.
[52]) K. Kłósak, art. cyt. 305—306.
[53]) F. Kwiatkowski, Filozofia wieczysta, t. II, Kraków (1947), 260.
[54]) K. Kłósak, art. cyt. 306.
[55]) Dąbrowski, art. cyt. 122.
[56]) Acta Ap. Sedis, t. VIII, (1941), 506.
[57]) A. et J. Bouyssonie, Polygénisme, D. T. C. t. XII, p. II, 1935, c. 2520, 2534.
[58]) L. Lercher, Inst. theol. dogm. II, Barcelonae, 1945, 309.
[59]) Vittorio Marcozzi, Le Origini dell'uomo, L'Osservatore Romano 5. IV. 1951.
[60]) Tamże.
[61]) Ceuppens, art. cyt., 28. Oryginalny i grecki tekst w 26: „Uczyńmy człowieka (Adama)... niech panują" nic nam nie mówi o liczbie pierwszych ludzi stworzonych na początku przez Boga, por. Dąbrowski, art. cyt. 128, Ceuppens art. cyt. 25.
[62]) Tamże, 23.
[63]) Cytuje się nieraz na poparcie jedności rodzaju ludzkiego, głoszonej przez Pismo św. 1 w. 10 r. Ks. Mądr., jak to uczynił C. Sokołowski (Jedność rodzaju ludzkiego, Podr. Encykl. Kośc. t. 19—20, Warszawa 1910, 13), oraz Winiarski (art. cyt., 331). Zdanie to jednak nie dość wyraźnie przemawia za monogenizmem tak, że można je pominąć.
[64]) E. Dąbrowski, Dzieje Pawła z Tarsu, Warszawa, 1947, 226—266.
[65]) F. Prat, La Théologie de Saint Paul, t. I, 16 éd. Paris 1927, 72.
[66]) Tamże, 70.
[67]) Prat, op. cit. t. I, 250—253.
[68]) Ceuppens, art. cytow. 29.
[69]) Aczkolwiek te pisma powstały po śmierci św. Pawła, jednak odzwierciedlają poglądy teologiczne I w. po Chr., zob. Prat. po. cit. I, 255, 516—518.
[70]) l. c.
[71]) Coll. Lac., t. VII, 555, 556.
[72]) Sesja VI r. 3, D. B. 795.
[73]) Op. cit., 520.
[74]) l. c.
[75]) l. c.
[76]) A. et J. Bouyssonie, Polygénisme, D. T. C. t. XII, p. II, Paris 1935, c. 2536.

[77]) Les Sages d'Israel, Paris 1946. Różycki wspomina jednego z profesorów rzymskich, nie podając nazwiska owego zwolennika poligenizmu, zob. jego Kryzys teologii na Zachodzie, Polonia Sacra, t. I (1948) 301.

[78]) Acta Apost. Sedis, t. XXXI, (1939), 490.

[79]) Art. cyt., 52.

[80]) Tamże, 52—53.

[81]) Lettre de la Commission Bibl. Angelicum vol. XXV (1948), 164; C. Jakubiec, Ważny dokument, Ruch biblijny i liturgiczny, nr. 5—6 (1948), 282—287.

[82]) Por. wstęp listu Komisji Biblijnej przedstawiający powód jego napisania.

[83]) Vosté, 1, c.

[84]) Według tłumaczenia zamieszczonego w Miesięczniku Kościelnym Archidiecezji Poznańskiej, 1949, 44—45 (z lekkimi poprawkami). Wyżej cytowany ustęp Komisji Biblijnej należy zestawić z następującym urywkiem encykliki Divino afflante Spiritu: „Badania dokonane w ostatnich dziesiątkach lat z większą starannością i uwagą niż dawniej jasno wykazały, jakim rodzajem literackim posługiwano się w dawnych czasach... w opisach historycznych o prawach i zdarzeniach... Kto posiada właściwe pojęcie o natchnieniu biblijnym, ten bynajmniej dziwić się nie będzie, że u biblijnych autorów, jak i u innych dawnych, spotykamy się z pewnymi formami przesady i opisów, z pewnymi właściwościami zwłaszcza języków semickich, z opisami, które można by nazwać „przybliżonymi", pewnymi hiperbolicznymi wyrażeniami, nawet nieraz paradoksalnymi, które mają na celu tym większe podkreślenie rzeczy". (Tłum. E. Dąbrowskiego).

[85]) Vosté, art. cyt. 162.

[86]) K. A. Myśl religijna w Księdze Genezy, Znak nr 19, (1949), 431.

[87]) Vosté, l. c.

[88]) Vosté, tamże.

[89]) Wellhausen (zm. 1918), głośny krytyk liberalny, który zastosował do krytyki biblijnej zasady ewolucjonizmu Hegla i wyróżnił w Pięcioksiągu cztery dokumenty powstałe w ciągu czterech wieków (od IX—VI przed Chr.). Ostateczny redaktor Pięcioksiągu, którym ma być Ezdrasz lub zespół kapłanów jego szkoły w Babilonii, stworzył ze wszystkich poprzednio powstałych dokumentów całość. Zob. J. Archutowski, Wstęp szczegółowy do Ksiąg St. T., Kraków, 1927, 22—25; 53—55.

[90]) Encykl. Spiritus Paraclitus, n. 10—12.

[91]) Por. J. Jelito, O historiografii biblijnej i starowschodniej, Ruch Biblijny i Liturgiczny nr 1 (1949), 9—18.

[92]) W polskiej literaturze najlepszą ilustracją tych słów Papieża jest dzieło arcyb. Teodorowicza, Od Jahwy do Mesjasza, Poznań.

HANNA MALEWSKA

SIR TOMASZ MORE ODMAWIA

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Zerwał się i usiadł odgarniając włosy, nagle spotniałe u nasady — jeszcze nie wierzył. To ktoś z komisji, pewno znowu tamci, a jego omylił słuch. Potem pochwycił już nie tylko kroki ale i głos Meg, a jeszcze się nie ucieszył tak to było niespodziewane.

Zgrzytnęły skoble. Margaret, ona, najmilsza.

— Przyszłaś córeczko. — Ten jej rozpaczliwy, niezrozumiały list — więc p o t o właśnie. Brał ją w ramiona i znów odsuwał pojąc oczy jej widokiem. Zostali sami, całowała mu ręce.

— Siądź, usiądziemy. — Płakała z radości. Chyba nie dla czego innego, jak że widzi ojca znów takim, jakim go znała zawsze. Tak, Meg, nie trzeba nam wielu słów. A to, coś napisała, te namowy, po to, żeby cię puścili, prawda? Gdy tak myślał, już rozmawiali prędko i zwięźle, oddychając jak po gwałtownym biegu.

— Will dużo pracuje? Twego łańcuszka z diamentem nie sprzedałaś chyba? A mała zdrowa?

— Pracuje, o tak. I żali się, ale nieszczerze: on nie umie wypoczywać. Nie tak, jak my...

— Mnie już nawet obrzydło to wypoczywanie, Meg.

— ...A dzieci jeszcze kaszlą. Małą się niepokoję.

Mądra Meg, błękitnooka jak Pallada, z dołeczkami przebiegłości. Opowiada tak zwyczajnie i po domowemu, jakby nic ich nie dzieliło. Nawet i o tym, że zdechła wojownicza Pussy, a zato Cecylia dostała prawdziwą papużkę z Wysp, zieloną jak liść. — A jeśli sprzedam łańcuszek, to tylko u Grootha, obawiam się co prawda, że trzykrotnie przepłaci przez afekt dla ciebie, ojcze.

Nie uroczyście ubrała się i nie surowo; śliczna suknia modra z małą kryzką: nikt tak nie umie wychylać się z kryzki jak Meg — i uśmiecha się, ocierając jeszcze łzy. Całe obejście w Chelsea, zaciszne, zamiejskie przyniosła z tym wdziękiem, z tym głosem, z tym spojrzeniem. Boże, jak się zawsze rozumieli z córkami, a szczególnie z Meg.

— A Tom Heron, błazenek, wyobraź sobie ojcze, uczy się na twój powrót zdumiewających rzeczy. Nie odzywa się już inaczej jak po łacinie. Buczy jak truteń: Aequam memento rebus in arduis servare mentem... Strażnik pod drzwiami aż chrząknął zdziwiony, tak dźwięczny i szczery dobiegł go śmiech więźnia. I Meg śmiała się, ale jej duże oczy tak pełne były łez, jak górskie sasanki po deszczu.

— Aequam memento... Jakbym widział pędraka, tłuściocha. Ale ja was przecież chyba tego nie uczyłem? A może i ja... Ale powiedz mu, Meg, że to nie prawda. To znaczy... Że nie rady poetów, ani filozofów, no, rozumiesz, wesprą człowieka. Rebus in arduis. Na jakiejś śliskiej ścieżce w górach.

— Wiem... Tylko Bóg.

— A i Pan Bóg nie obiecał żadnemu chrześcijaninowi na świecie „umysłu niezachwianego".

Teraz już wyciągnęła z rękawa chusteczkę i cicho otarła oczy.

— Powiedziałeś Willowi wtedy, ojcze, po pierwszej komisji: — Rad jestem, żem tak daleko zaszedł z tymi panami, że bez wielkiego wstydu nie będę się mógł cofnąć...

— Bo i rad byłem. A teraz cieszę się tobą: i ty się ciesz. „O ranku, jakżeś piękny, o dniu, jakżeś miły"... Mów mi o wszystkich. Mów jeszcze o dzieciach.

Mały Heron podobniejszy jest do Meg od jej rodzonych dzieci; najpodobniejszy z całej gromadki w Ghelsea. Mając sześć lat Meg właśnie tak samo jak on rozpromieniała się nagle i zupełnie, gdy się na nią spojrzało. Małe dzieci patrzą zwykle tak śmiertelnie poważnie, czując swą słabość. Wrzask jest ich bronią, pyzate policzki wzdymają się pychą, ale oczy pozostają bezbronnie szczere. Każde małe dziecko, nawet najbezpieczniejsze, chciałoby się zawsze pocieszyć, uspokoić. Ale błazenek-łacinnik może już jest teraz zuchem. Rok jak się nie widzieli, więc pewnie dorósł już wieku, kiedy się nadrabia miną. A dwoje najstarszych Meg, oho, ci nie wiedzą już co robić z radością i siłą. Bo to czas, krótki czas, kiedy człowiek jest silniejszy niż życie.

— Czy pamiętasz, jak zawsze nazywałem was w dzieciństwie?...

— Jakżebym zapomniała? „Łatwo żyjący bogowie" mówiłeś, a ja tak to lubiłam. Czy to było z Pindara?... Ach, ojcze, czy nie byliśmy wszyscy trochę, jak łatwo żyjący bogowie?

Margaret jest w kwiecie lat niewieścich, ma męża, dzieci, ból jej minie; nawet i teraz jej smutna twarz jest zwierciadłem zdrowia.

— Tak, Meg. Ale mówiłem ci chyba nieraz, że Pan wyświadczył mi tę wielką łaskę i przez te wszystkie lata kazał gotować się na to, co jest dziś.

— Czy miałeś jakie objawienie, ojcze?

— Skądże, córeczko. Jestem grzesznik, nie miewam objawień. Trochę rozsądek mi to mówił i znajomość czasu. A pozatem —

Tak. Zrozumiała i to chyba. Drogi Boże. Wąskie i strome.

— Tyle godzin przemodliliśmy razem, ojcze.

— Tyle razy czytaliśmy razem Ewangelię. Jaki to spokój, Margaret. I ty bądź spokojna. Patrz, taki mizerny człowiek, jak ja, a przecież nie zapomniałem nigdy o słudze czy ogrodniku, choć anim ich ulepił z gliny, anim krwi za nich nie przelał — zgoła anim wiedział, gdzie i jak wyrośli na dzieci Boże, a jakże by Pan miał zapomnieć o nas?

Wstali, czas upłynął.

— Ale wiesz, Meg, pamiętaj, i przypomnij innym. Póki sumienie nie zmusza, nie szukajcie takiego krzyża. Wiadomo: sam poszukasz, sam będziesz musiał nieść. Ja mam sumienie związane racjami. Ani nie naśladuj... nikogo. Ja nigdy bym nie zawiesił duszy mojej na barkach innego człowieka, choćbym go miał za najlepszego z żyjących, bo skąd wiem, gdzie by mógł zanieść duszę moją?

Strażnik otworzył i wskazał ręką wzdłuż krużganku: — Pozwolone macie, panie, odprowadzić. — Na drugim końcu stał drugi strażnik. Szli powoli, galeria była długa.

— Wiesz? Jeden z ludzi tutaj mówi mi, o tak, bez złej myśli: Na co ci to przyszło, panie, nieswoją może śmiercią zemrzeć. A ja powiadam: Ręczę ci, człowieku, że s w o j ą. Jeśli tu mnie czeka śmierć, to właśnie moja.

Meg patrzyła, jak założył włosy siwiejące za uszy zupełnie swoim gestem i uśmiechnął się też całkiem po swojemu. Wiedziała jednak, że kiedy ojciec żartuje naprawdę dla śmiechu, wtedy robi poważną minę. Zarzuciła mu rękę na szyję, nie zważając na ludzi. Odsunął ją zwolna, szepcąc: — Nie, kochana. Tak właśnie, wiesz, obejmował mnie czasem na przechadzce — pewien dostojny władca.

Wziął jej dłonie w swoje. — Ale nie sądźmy go surowo, Meg. Tak bardzo chce mieć zawsze rację. Gdyby było w jego mocy, nie pożałowałby trudu, by stworzyć nanowo świat: taki, w którym król Harry będzie zawsze w dobrym prawie. A póki co, każe wszystkim wierzyć... Nie, nie płacz. Nie żegnamy się na zawsze, Meg. Wierzyć, że quod principi placuit v e r i t a t i s habet vigorem, co władcy spodobało się, to ma moc prawdy. Nie płacz. Idź z Bogiem.

Odwrócił się prędko.

Wieczorem pomyślał: a przecież to mnie właśnie zdarzyło się stworzyć świat: Wyspę Utopię z miastem Amaurote. Zdziwił się nieco swoim młodym chęciom.

Kiedy zrozumiał, że obudził się i gdzie jest, wydało mu się to dziwniejsze niż sen. Śnił długo i rozmaicie, zaledwie pamiętał o czym. Ale dobrze pamiętał ostatek: to marzenie przedranne, które jakoby mówi prawdę. Wędrował po tak dalekich, tak spokojnych krajach. Daleko, a bez zgiełku i utrapień podróży. Żadnej troski. Jutro wydawało się równie znajome jak dziś. A przeszłości nie było. Żadnej troski. Ani o dom, ten wielki dom w Chelsea, gdzie tyle dzieci. Ani o przyjaciół. Ani —

Żaden pałac królewski, ani żaden gmach w rodzaju Tower napewno nie istniały w owych stronach odległych.

Obudził się. Był w Tower.

Leżał nie ruszając się. Łóżko miał równie wygodne jak w domu, a krata — pięknie i umiejętnie kuta a odbijająca się dokładnie na białej ścianie, dawała mu przez szereg pierwszych tygodni szczególne poczucie bezpieczeństwa. Mówił sobie, patrząc na nią — że już się nie cofnie. A czasem, że jest oto w klasztorze; pod posłuszeństwem i wolny od rozterek czy zgryzot. Później przyzwyczaił się i nie spostrzegał już otoczenia.

Teraz jednak widział wszystko znowu i szczególnie ostro. Wrócił jak umarły, wezwany z za grobu, by raz jeszcze stanąć pośród żywych.

Bóg dopuszcza to podobno czasem. Na świadectwo.

Gdy strażnik wszedł z polewką, Sir Tomasz More już otrząsnął się z majaków sennych — którym zresztą nigdy nie ufał; toteż zmieszanie, w jakie go wprawił widok owego człowieka, było rzeczywiste — i omal go nie przeprosił za to, że wczoraj... że dziś?

Stary kanclerz Anglii całe życie miał zwyczaj przepraszać ludzi, bez względu na ich kondycję, za wyrządzoną przykrość. Od młodości jednak nauczył się połykać pierwsze, drugie i trzecie słowo. A mówić dopiero „z następnego tuzina".

Oczywiście, że nie złajał bynajmniej tego tu odźwiernego — śniło mu się to tylko. A nawet nie. Przyśniło mu się zdarzenie z przed bardzo wielu lat, gdy podchmieliwszy sobie poraz pierwszy, a bodaj i ostatni w życiu, obrzucił dotkliwymi wyzwiskami sługę ojca, który nie otworzył mu szybko. Wstydził się tego długie lata, a żałował do dziś.

Ów sługa nie był podobny do strażnika, a jednak —

Na podziękowanie More'a za jadło ów człek burknął i chrypnął tylko. A przecież, jak znał Margaret, tak napewno opłaciła go ze swojej sakiewki. Patrzył na tego osiłka o kwadratowych barach, ze szpa-

kowatą szczeciną włosów, brzękającego pękiem kluczy i krótkim knechtowskim mieczykiem. Napewno znał go ze dwadzieścia pięć lat, w czasach, kiedy siwiejąca czupryna była brunatna, a może ruda, a Thomas More jeździł do więzienia odwiedzać swoich klientów jako obrońca. Napewno nie obraził go nigdy w rzeczywistości. Wyraźnie jednakowoż odnajdywał teraz na języku obrzydliwe, niechrześcijańskie słowa, którymi obrzucił sługę ojca jako młokos.

Oczywiście strażnik postępuje z nim o wiele mniej uprzejmie, niż król a nawet Cromwell życzyliby sobie. Nie jest to piękna, bez kwestii, właściwość ludzkiej natury: chcieć kopnąć każdego, kto się przewrócił. Niemniej dosyć powszechna; dziwne, ale niepodobna tego nie widzieć. Ten tu jednak patrzy nań nie z uciechą, właściwą gawiedzi otaczającej kolasę złamaną w błocie, ale ponuro, z posępnym wstrętem, jak na buntownika. — Zachciało ci się z królem jegomością zadzierać? — Czy na heretyka.

Ubierając się More pomyślał, że ten prosty człowiek — a zapewne i mnóstwo innych — może naprawdę uważa go za buntownika? A więc coś nakształt pociotka Lucyperowego.

Mimo że arcybiskup Cranmer, bywając w tej celi, traktuje jej mieszkańca jak dostojnika i kolegę erudytę, który zapewne dziś, jutro przezwycięży swoje skrupuły i wróci do części łask, jakimi się cieszył. Nawet Thomas Cromwell hamuje swoją przyrodzoną gburowatość, nie wierząc widocznie, żeby eks-kanclerz More miał do końca pozostać uparty.

A jednak to ty raczej masz rację, ty tu, stary niedźwiedziu. Co do — wyniku, co do sposobu mego wyjścia stąd. Trafny węch stróżów, jak również siepaczy.

Ale człowieku... — Dziękuję wam, zabierzcie to, nie będę więcej jadł. — Człowieku, czy loch i pieniek m u s z ą hańbić? Z takim łoskotem zamykasz drzwi na wszystkie zasuwy, jakby twój więzień miał siły dwóch Herkulesów, a zamiary podpalacza Londynu.

Tak. Tron angielski stoi dziś mocno i wysoko. Co i chwała Bogu. Dziadom i ojcom zalazły za skórę ciernie Dwóch Róż, a król Harry, jasnowłosy i rumiany, dotąd jeszcze nie strwonił tego olbrzymiego skarbu zaufania, który jako książątko otrzymał w młode, czyste ręce. Panie Boże, miej w opiece króla.

Co wmówią jeszcze — później — ludowi tego miasta? ludowi, który przecież dobrze go zna, skoro przez tyle lat przychodził do niego, More'a z Lincoln's Inn po sprawiedliwość, ale jest łatwowierny i zmienny jak każde zbiorowisko ludzkie. Jaką sławę czy osławę zostawi tu po sobie Tomasz More? W tej chwili pojął, że — choć i nie myślał o tym —

spodziewał się przecież pamięci pięknej. Cóż, nie o to w ostatku idzie, Boże Żywy, nie o pamięć.

„Utopia" pozostanie. Mądre państwo „Nigdzie". Ale i dzisiaj znowu rozmyślając o niej, odczuł coś jakby obcość i zdziwienie.

Bo teraz, starzejąc się i siedząc trzynasty miesiąc w Tower, wiedział: był zawsze człowiekiem szczęśliwym, któremu wszystkie ludzkie nieprawości i głupoty nie przeszkodziły kochać świata takim, jaki jest.

Właściwie wszystko lubił. Jak rzadko się zdarza. Bo przecież jedni nie lubią hałasu dzieci a inni samotności. Jedni prostych ludzi, z jakimi ma się do czynienia w sądzie, inni obcowania z wyższymi od siebie, lub ze starcami dającymi rady. Ci nie lubią miasta, że śmierdzące i złodziejskie, inni wsi, że nudna. Niektórzy nie lubią nawet ksiąg, rzecz niepojęta. I sarkają na żarty w rozmowie, jakby prawdziwy dowcip nie był zjawiskiem równie cennym jak rzadkim.

Co też teraz porabia Erazm? I co też myśli o nim tutaj, o Tomaszu More w celi Tower, najlepszy niegdyś przyjaciel? Nie dziwi się chyba, jak tutejsi wielcy. Może znał go lepiej? Cranmer niby zna go nieźle. No i król. Tylko że Erazm z Rotterdamu lepiej od tamtych wie, co piękne i co rozsądne.

Tak. Bo jest rzeczą arcyrozsądną kupić perłę i postawić dom na opoce. A nienadto dbać o resztę.

Lubiąc wszystko, z czasem polubił nawet ludzi tak zupełnie od siebie odmiennych, jak rycerze, młodzi zapaleńcy, którym zamało rozbijania łbów na wojnie i robią to jeszcze w czasie pokoju.

„Odzierżyliśmy pole". Kiedy opuszczał Chelsea jadąc na to śledztwo, z którego już nie miał wrócić, nie pozwolił córkom i dzieciom odprowadzić się jak zwykle do przystani, ale — niby w zabawie — zaryglował wrota przed zgiełkliwą gromadką. A wsiadłszy w łódź, powiedział do Willa Ropera te słowa ze starodawnego słownika: „Odzierżyliśmy pole". Tak, to była wygrana batalia.

Duke of Norfolk odzierżył w życiu niejedno pole. A choć nie był już bynajmniej młodym zabijaką, w jego pooranej twarzy dostrzegał More niemało jeszcze tej porywczej, nieświadomej siebie hardości, jaką znał w nim niegdyś. Urodziwy człek. A strój jego dworski tak układa się, jakby nawet na aksamicie odcisnęły się pręgi pancerza.

— Ależ tak, milordzie. Nie wątpię w życzliwość waszą dla mnie...

— ...Bo że stary biskup Rochester i ci obłąkani z postów kartuzi... Ale wy, świecki człek, wy umiecie żyć, zawsze umieliście. Znacie dwór, a na prawie zęby zjedliście. Za mądrzyście, Sir Tomaszu, żeby nie wiedzieć: życie więcej warte niż — ot, litery. Które w dodatku sam król może odmienić za rok.

Sir Tomasz More uśmiechnął się. Zjadł zęby na prawie, owszem. A jednak nie znaleźliście, przy najlepszych zaiste chęciach — przynajmniej ze strony Toma Cromwella — ani jednej zadry czy plamy na całym ćwierćwieczu mojej służby trybunalskiej i poselskiej. Nie pamiętał już, czy sam tak powiedział, czy ludzie tę gadkę ukuli o nim, ale dalibóg tak było: że gdyby rozsądzał między diabłem i ojcem, a diabeł miał dobrą sprawę, przysądziłby słuszność diabłu.

— A królowi panu mocno zależy, żebyście i wy, Master More, przysięgli, jak wszyscy. Jak parlament — toż uchwała parlamentu. Jak biskupi.

Prostoduszność starego wojownika rozbrajała ironię More'a: ten oto nie wmawia mu, jak inni, że łaskawemu monarsze chodzi li-tylko o ustrzeżenie uparciucha More'a przed zbrodnią zdrady stanu.

— Tak — powtórzył Norfolk, rozglądając się z westchnieniem po ciasnej półpodziemnej izbie, gdzie ostatnio przeniesiono więźnia. — Nie jest tak, chwała Bogu, żeby powiedział sobie: muszę mieć jego głowę. Tak źle z wami nie jest.

Wspomniał pewnie o Buckinghamie, który tu siedział przed laty, i którego głowę król musiał mieć. I miał. Buckingham pewnie ciężej o wiele znosił zamknięcie, nawykły do ruchu, do łowów. Nie przyznał się jednak do tego, co mu zarzucano. Książę Norfolk głosował wówczas ostatni w sądzie parów. Wiedział dobrze, co sądzić o „spisku" królewskiego krewniaka, ale płacząc powtórzył za innymi: śmierć.

— Pamiętacie pewnie, Sir Tomaszu, przysłowie starego naszego arcybiskupa: „Oburzenie książęcia to śmierć".

— A czy parę innych jeszcze rodzajów śmierci nie wpadło wam w oczy, milordzie? Od czasów bodaj Adama i Ewy dla nikogo nigdy jakiejś śmierci nie zabrakło.

Ten sam człowiek, ten tu lord Norfolk starł w puch — u boku ojca — walecznych Szkotów na krwawym polu Flodden. Pamiętny bój, król Jakub sam nałożył głową. A i dzisiaj wyzwie na udeptaną ziemię choćby tuzin rozsądnych ludzi, żywiących mniemanie, że Duke of Norfolk raz i drugi w życiu uchybił jednak honorowi.

Tak, to tutaj siedział Buckingham. W lochu Pole, którego król zgładził bez sądu. Henryk VIII uznaje jednomyślność — albo ciszę. W innych czasach, w skrzydle naprzeciw zginęły dzieci Edwarda. Przez to okno — tak przynajmniej gadali starzy — wyrzucono zwłoki Henryka VI na rozkaz dziada obecnego króla. Po dziedzińcu stoczyła się głowa Warwick'a... Król Harry i tak z początku bardzo chciał być kochany. Uwielbiany; przez cały świat. „Kogo wielu się boi, ten musi też bać się wielu", mawia stary Chappuys, ambasador cesarski.

A w ostatku najwięcej chyba prawdy. Choćby całkiem bezbronnej. Nagiej, prostej prawdy.

— Dziękuję wam, milordzie, za życzliwe chęci — powtórzył More dobrodusznie. — Cóż, starzy z nas znajomi. Jeszcze chyba z czasów waszego wspaniałego dnia pod Flodden.

— Nie wszystkie dni mogą być piękne, Master More.

Czemu nie, człowieku? Czemu nie, milordzie Norfolk? Powinny być piękne. Nawet ludzie, którzy nie czytają, ani nie patrzą na obrazy, czyliż nie powiadają „piękne czasy" o swojej dzielnej młodości? Flodden było dawno temu i Norfolk zestarzał się. O ileż to łatwiej młodym umierać. Kiedy ciało nie przeczuwa jeszcze ani trochę, co to śmierć. Chociaż on sam, More, nie kwapił się nigdy do tej ostatecznej sprawy ludzkiej. — A kiedy ten tu był pod Flodden, ja trapiłem się, że mi życia nie starczy na księgi.

Mój piękny dzień o ileż był skromniejszy, wspomniał naraz i uśmiechnął się, ale za to całkiem niedawny. Piękny dzień, swobodny. Kiedy to nie poszedł był na koronację Anny Boleyn. Z Margaret i z jej mężem przechadzali się po nadbrzeżu, a cicho było, cały Londyn ruszył patrzeć i krzyczeć, i kłaniać się „ladacznicy" jak ją lud nazywał, i zbierać grosze. Chodząc w ciszy mówili — chyba o pięknych rzeczach, a może i o zwyczajnych — ale w poczuciu niezwyczajnej swobody.

Czy piękno może zawieść? Zmylić, oszukać? Całe życie nie wątpił, że piękno i mądrość to proste i bezpieczne drogi do Ojca Światłości. Bóg udarował go mądrymi przyjaciółmi, nie zarażonymi ciasnotą faryzejską, która zagradza szlaki piękne i potrzebne, dlatego, że i po nich czasem chadzają mordercy.

Ale wiedział też zawsze, że królewska droga, to droga krzyża, a przed nim właśnie drżał. Aż dobry Pan zawiódł go tu sam, zamknął wszystkie przyzwoite wyjścia, przyparł go do muru.. „Aequam servare mentem" — tego Pan Bóg nie obiecał. Ale że „będę z wami po wszystkie dni", to obiecałeś, Zbawicielu świata.

„...jakiekolwiek by były przyczyny, dla których przysięgi odmawiam, jednej rzeczy jestem pewien i ogólnie jest wiadoma: że wielu z tych co złożyli przysięgę, i to z najuczeńszych, zanim tę przysięgę im przedłożono, mówili i podtrzymywali całkiem przeciwne rzeczy w porównaniu z tymi, na które teraz przysięgali... Nie chcę sądzić niczyjego sumienia, ukrytego przed naszym wzrokiem w głębi duszy człowieka. To tylko powiem, że nie słyszałem nigdy o przyczynie tej zmiany, o wykryciu jakiegoś przekonywającego argumentu, uprzednio nie dostrzeganego, lub niedość rozważonego. Jeżeli te same rzeczy teraz wydają im się inne aniżeli przedtem, to cieszy mnie to dla nich niewymownie. Ale

ja nie dostrzegam żadnej zmiany w tym, co widziałem poprzednio. I dlatego, chociaż inni mogą postąpić inaczej, mnie tego, córko, uczynić nie wolno... A chociaż myślisz, Margaret, że jest ich znacznie więcej po tamtej stronie, aniżeli po tej myślącej tak, jak ja myślę, powiem ci dla twojej pociechy, abyś nie przypuszczała, że twój ojciec postępuje jak głupiec, gdy naraża się na utratę majątku a może i życia nie mając powodu ku temu, a może nawet wystawiając swoją duszę na niebezpieczeństwo — na to wszystko powiem ci, Margaret, że nie wątpię wcale o tym, iż chociaż może nie w tym królestwie, lecz w całym chrześcijańskim świecie, z żyjących mądrych i cnotliwych mężów większość byłaby mojego zdania. Pewien też jestem, Margaret, że spośród Doktorów Kościoła i świętych, o których żaden chrześcijanin nie wątpi, że znajdują się w obecności Bożej w niebie, a których dzieła po dziś dzień są w ludzkich rękach, są tacy, co o niektórych rzeczach myśleli tak samo jak ja... Na zakończenie powiem ci, córko, jak ci już nieraz mówiłem: nie zamierzam dyskutować o tej sprawie, nie potępiam ani nie ganię czynów jakiegokolwiek innego człowieka. Nigdy przeciw parlamentowi nie pisałem, ani publicznie nie ganiłem jego uchwał. Lecz co się tyczy mojej osoby, powiem ci na pociechę, córko: sumienie me w tej sprawie tak jest jasne, że zbawienie moje może śmiało od niego zależeć. Tego jestem, Meg, tak pewien, jak tego, że Bóg jest w niebie. A co się tyczy reszty..."

Ten list — dawną już odpowiedź na jej własny — odczytywała Margaret prawie codziennie, tak jak prawie codzień próbowała zobaczyć się raz jeszcze z ojcem. Przeprawiała się przez rzekę z jedynym sługą wiernym i cierpliwym, którego nie gniewały te daremne wędrówki. Szła do komendanta Tower, lub do kogoś ze dworu.

— Oto rusztowanie dla kartuzów — powiedział jej przewoźnik, składając wiosła. Nie odrzekła nic. Widziała je już wczoraj, same początki budowy. Dziś wzniesiono już i straszliwą, niską szubienicę do ćwiartowania. Nie patrzyła i modliła się drżąc. Co do kartuzów, to rzecz była już przesądzona. Nie, nie mogła o tym myśleć. Posyłała im jedzenie, modliła się za nich, ale już nie mogła myśleć.

— Witam panią, Mistress Roper. — U wejścia do ogrodu arcybiskupiego, gdzie kierowała się, by odwiedzić kapelana, spotkała samego Cranmera. Przywitał ją z wielkim szacunkiem, jak tyle razy w progach ich domu w Chelsea; że spojrzeniem, którego łagodna przychylność natychmiast spędziła jej z myśli okrutny obraz oglądany u przeprawy.

Stojąc pośród pięknych drzew ogrodu, arcybiskup Cranmer dostojnie i skromnie przyodziany, uczony i rozsądny, witał ją pochyleniem głowy.

— Nie, nie mogę dziś, pani,. wyjednać wam odwiedzin w Tower. Ale proszę wstąpić do mnie.

Gdyby był z nim Cromwell, chyba nie weszłaby. Z tym nie miała już siły mówić.

Ale Cranmer był naprawdę uczonym człowiekiem, wrogiem gwałtów, krzywd i krwi — tak mówiono, i dość było popatrzeć w tę podłużną, bezbarwną twarz o czole prawie tak szerokim i ładnie zarysowanym jak czoło Erazma. To nie on też łupił klasztory, choć pisał z erudycją przeciw monastycyzmowi. Uczona Margaret Roper wiedziała to wszystko.

Prosił ją grzecznie przed sobą na schody, ale zatrzymała się u stopni i zaczęła mówić, najpierw patrząc pod nogi, a potem wprost w oczy arcybiskupa Canterbury:

— ...nie żądajcie od niego, wasza dostojność, rzeczy niemożliwych. Takich, które złamałyby go, zniszczyły: pojmujecie mnie, panie? Nie sądźcie, że on m o ż e — tylko się namyśla — że on potrafi być inny.

— Wasz ojciec, pani, to mąż zacny i prawy, ozdoba tego królestwa. Chcemy go mieć takim, jaki jest — myślące oczy Cranmera stały się jeszcze życzliwsze.

— Dzięki za te słowa, dostojny panie. A i sam król, wiem to napewno, mówił... Tak mówił wręczając ojcu pieczęć, a i potem znowu: Owszem, na pierwszym miejscu służba Bogu, Mr. More, a na drugim waszemu królowi.

Zarumieniła się z dumy na wspomnienie, że to król, sam wielki król ubiegał się o ojca na kanclerstwo. Jakim człowiekiem jest ojciec, wie cała uczona, chrześcijańska Europa, a nie przeczą i wrogowie.

— Król mówił, jak przystoi chrześcijańskiemu panu. Wszyscy staramy się, pani, być chrześcijanami. Toteż i od ojca waszego król jegomość nie żąda nic przeciwnego jego znanej, wielkiej pobożności. To dwie różne sprawy, pani.

Z ciasno stulonej, jak kielich kwiatu, krezy twarz rumiana Margaret wznosiła się ku Cranmerowi z rozchylonymi wargami i chwiejnym od nadmiaru uczuć spojrzeniem. Serce jej biło. O tak, tak jest — szalony by zaprzeczył: to ludzie rozumni, pełni wiedzy, dżentelmeni, chrześcijanie, Anglia nie popadła przecie w moc dziczy ani zbirów. Ani jej król. Ten sam król Henryk, który przez lata całe nie chciał zasiąść do wieczerzy bez Tomasza More'a, tak kochał jego rozmowę i dowcip. To, co jej nasuwała trwoga tyle razy, to co przewiduje ojciec, to zmora, okrutne, niedorzeczne przywidzenie. Trzeba tylko zrozumieć się wzajemnie. Nikt nie chce skazania i śmierci wielkiego Tomasza More'a. Toż i łotrowi Cromwellowi ojciec już nie stoi na zawadzie. A i sam, naj-

mędrszy, dobry — ani uparty przecież nie jest, ani szalony, ani pyszny. Przez myśl by mu nie przeszło, żeby chrześcijaninowi wolno było kusić Pana Boga. Prawdę mówiąc nie lubił on męczeństw, zgoła nie miał smaku do tych wszystkich historii w „Martyrologium" — jak i ona, krew z jego krwi; Boże przebacz, niepodobna myśleć o tych kartuzach.

— Supremacja papieska, rozwód króla i przysięga — mówię wam o tym, pani, bo wiem, że dzielicie myśli ojca — to sprawy, o których co najwyżej (i tylko między nami) rzec można, że są to sprawy sporne. Wasz ojciec myśli tak, ale całe prawie duchowieństwo angielskie myśli inaczej. Posłuszeństwo królowi natomiast, i parlamentowi, to sprawa bezsporna. Czwarte przykazanie Boże. A to samo przykazanie, wraz z piątym, bezsprzecznie, nakazuje tobie, pani, ratować ojca. Przekonać go o tej prostej prawdzie, którą ci właśnie wyłożyłem, ulgę przynosząc jego sumieniu.

Margaret spuściła wzrok i poczuła zamieszanie w sobie. Zachwianie i niepewność w całej swojej istocie. Podniosła znów źrenice, czując lekką, kościstą rękę na swej pochylonej głowie. Cranmer patrzył na nią z pewną smutną tkliwością.

Nie było w tym udawania. Schylona jasna głowa z prostym przedziałkiem przypomniała arcybiskupowi Cranmerowi — żonę; tak, miał żonę: pokochali się z cnotliwą Niemką, córką ministra luterańskiego w Saksonii, z którym biskup Cranmer miał wspólne mniej więcej poglądy; ojciec westchnąwszy dał im ślub, no a potem Cranmer musiał o tym zapomnieć, bo Henryk VIII żądał bezżeństwa księży, jego zaś uczynił prymasem Anglii. Iluż to rzeczy w życiu trzeba się wyrzekać, moja młoda, zacna niewiasto.

Margaret cofnęła się. Nie czytała w myślach Cranmera, nie wiedziała nawet o historii z żoną, bo nie była to sprawa głośna; nie posądzała też dostojnika o jakikolwiek osobisty sentyment, ale poczuła się okropnie nieswojo. Laseczką, na której zawsze wspierała się wysiadając z łodzi, drążyć zaczęła w piasku, jakby chciała utwierdzić się w miejscu. Jej wstręt był nierozumny. Przestraszał ją samą, bo dławił dopiero co zrodzoną nadzieję, ba, pewność. Gdybyż mogła zobaczyć ojca, gdybyż ją puścili. Chciała raz jeszcze o to poprosić, ale pogubiły jej się słowa.

— Witam was, Mr. Rich — zabrzmiał wątły głos Cranmera.

Od bramy ogrodowej szedł dżentelmen w poważnych dworskich szatach, ale z wesołym jasnym wąsem i w kapeluszu z piórem. Rich, dworzanin, zausznik Rich, to on zeznał przed komisją... Skłamał, sfałszował słowa More'a. Postawny, strojny Mr. Rich ukłonił się nisko Małgorzacie Roper — i on bywał w gwarnym, gościnnym Chelsea; arcybiskup postąpił naprzeciw niemu.

„A gdyby parlament uchwalił, że Pan Bóg nie jest Panem Bogiem, też zgodziłbyś się z tym, Mr. Rich?" — tak pytał jakoby Sir Tomasz More; bardzo być może, że tak właśnie wyraził swą myśl. „Nie, Sir Tomaszu. Bo parlament nie ma prawa uchwalić rzeczy podobnej". — „Tak samo, Mr. Rich, nie miał prawa uznać króla za głowę Kościoła w Anglii". To już napewno dodał Rich od siebie: More strzegł się pilnie, by nie mogli mu zarzucić „podburzania". Czy zmieniło to istotę sprawy? Może nie...

Cranmer przywitał świadka Richa z tą samą dobrotliwą powagą, co przed chwilą córkę podsądnego. Doprawdy był to człowiek układny, bez cienia buty. Ku Margaret skinął przepraszająco, by zaczekała.

— Wybaczcie, wasza dostojność, muszę iść. — Ścisnęła laseczkę w ręce. I porwała się, prawie pobiegła ścieżką. Okrążyła ich, mimowolnym gestem zbierając ciasno fałdy sukni. Jakby w obawie, by się o któregoś z nich nie otrzeć.

Odkąd Tomaszowi More'owi zabrano książki, nie pozwolono mu też trzymać w celi inkaustu i piór. Ale ów rudy „niedźwiedź", który tak przedtem na niego nastawał, nie oparł się ostatecznie dobroduszności i humorowi więźnia i zgodził się mimo zakazu nosić jego listy, już teraz pisane węglem. Przeprowadzono go znów pewnego dnia do jednej z cel na górze. Czyżby lękali się, że przepiłowuję kraty? Czy wyglądam, człowieku, na Waligórę? Nie, chodziło — odgadł — o pokazanie mu idących na śmierć kartuzów. I z początku rad był, że może ich choć tak pożegnać. Potem pomyślał ze wstydem, że przecenił siebie. Swoją odporność i tęgość. Chociaż zaiste liczył na nie niewiele. Nie więcej, niż się liczy na małe dziecko: że uderzywszy się nie zapłacze.

Takie życie jak kartuzów przygotowuje do męczeństwa, jest przedsionkiem śmierci i niebios. Niegdyś cztery lata przemieszkał był przy ich klasztorze londyńskim; dobre lata.

Pisał: „Znam swoją słabość aż nadto dobrze i przyrodzoną lękliwość serca; gdybym nie miał ufności w Bogu, że da mi dosyć siły, by raczej wszystko znieść, aniżeli go obrazić, przysięgając bezbożnie przeciwko własnemu sumieniu, możesz być pewna, że nie byłbym się tutaj znalazł".

A później: „Święty Piotr, znacznie mniej się lękający ode mnie, wpadł jednak w taki strach, że na słowo prostej dziewczyny wyrzekł się i opuścił Zbawiciela. Dlatego też nie jestem na tyle lekkomyślny, by zaręczać, że nie upadnę. Lecz będę się modlił i proszę cię, córko, o modlitwy połączone z moimi, aby Bóg, który mnie skłonił do takiego postępowania, udzielił mi łaski, abym w nim wytrwał".

Modlił się z niesłabnącą usilnością. Ale do kaplicy nie dopuszczano go już. Do mszy, do komunii. Z lękiem spostrzegł także, jak człowiek

jego usposobienia i zwyczajów czuje się zgubiony, opuszczony — bez książek. Nie posiadając i nie widząc nawet ani jednej. Sam z nieskończenie długimi godzinami; przez tygodnie nie czytając ani litery — chwilami tak niepewny siebie i świata, jakby ogłuchł i zaniewidział.

Ach nie, nie zaniewidział, ani ogłuchł.

Kiedy go prowadzili z powrotem do górnej celi, usłyszał znów ten lekki, tępy odgłos, który zadziwił wtenczas Margaret. Zatrzymała się pośrodku galerii, przyciskając ręce złożone do piersi. Ależ Meg, to tylko grają w piłkę. Gdzie grają w piłkę, ojcze? — Grali tuż obok, nad rzeką, i odblask ruchliwy wody na sklepieniu łapał cień lotny tej piłki. Margaret westchnęła, jakby to było gorsze niż wszystko inne. Wspomniawszy to pomyślał, że Meg dobrze go zna. A więc napewno modli się za niego bardzo. Dla tak słabego, jak on jest, człowieka nawet cień piłki, blask wody —

Boże Miłosierdzia, jakże piękna jest woda i blask, a jak ohydne jest wydzieranie kiszek obcęgami kata. A to jest tylko jeden z punktów kaźni; kaźni zdrajców, kary ćwiartowania żywcem. O ile piękniejsza już historia Scewoli, który włożył rękę w ogień. Choć on sam nigdy nie pragnął być Scewolą. Ów swąd ciała też musiał być obrzydły, a spalony kikut... Jeśli wzory stamtąd, to raczej Cicero, Seneka.

Widział w życiu tyle srogich kaźni. W tym okrutnym wieku, kiedy nawet każdego złodzieja, czy kłusownika... Naraz wspomniał, że przecież i Cicero i Seneka obaj zginęli gwałtowną śmiercią, od której bardzo pragnęli się uchylić. Prawicę Cicerona, piszącą tak pięknie, odciął żołdak, by przybić ją kołkiem do mównicy. A jednak to jest rzecz, w którą prawie niepodobna uwierzyć — właśnie uczonym i piszącym ludziom najtrudniej — własne ciało, spokojne, zdrowe, posłuszne, jutro rozszarpane, podobne do mięsa w jatce. Jakże uwierzyć? Kiedyś w sądzie oglądał truciznę, odrobinę proszku w pierścieniu weneckim. Mąż cofnął skargę prosząc, by nie skazywano żony: bo on wcale już nie wierzy, żeby mógł od tego umrzeć.

Cztery słowa odrzucone, cztery słowa przemilczane, czyż nie są jeszcze dziwniejszym, niemożliwszym narzędziem śmierci? niż pół naparstka białego proszku?

Ale śmierć kartuzów była rzeczywistością. Bracia kartuzi idący z głośną modlitwą na śmierć — z tego właśnie a nie innego powodu. Widział ich ostatnią drogę, szli spokojnie, parami. Powtarzał psalmy pokutne całe popołudnie podczas gdy tam, na placu... Obudził się w nocy na klęczkach na podłodze, spotniały i zziębnięty. Prawie umierał z mdłości wewnętrznej.

Bracia nasi kartuzi już przed Bogiem, błogosławieni w chwale.

A on, nędzarz, porwał się na rzecz, której przenigdy nie podoła. Zhańbi się, jeśli nie jutro, to u stopni rusztowania, najnikczemniej. Bóg powiedział o wietrze wedle wełny jagnięcia. To nie Bóg nakazał mu niemożliwość. To tylko pycha wmówiła mu, że potrafi to, co kartuzi i biskup Fisher.

A tak zuchwale przestrzegał kiedyś episkopat Anglii przed hańbą ustępstw, kłamstw: „Nie w mojej mocy sprawić, bym nie został zgładzony, ale przy pomocy Bożej postaram się, aby nigdy nie padła na mnie hańba".

Modlił się do białego rana. Mówił: Ojcze nasz. Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja. I znów od początku. Powtarzał officium z pamięci: zabrano mu i brewiarz, który odmawiał jeszcze od czasu pobytu z kartuzami.

Gdyby król był poganinem, Neronem; gdyby Cromwell i Cranmer żądali podeptania nogami krzyża, tak byłoby łatwiej. Stanąć do oczu lwom. Czy położyć głowę, jak Paweł. Ale biskupi przysięgli i opaci przysięgli, a krzyż noszą i wytykają błędy heretykom, odprawiają mszę, czczą świętych. — Cóż, papież Klemens dlatego odmówił królowi rozwodu, że boi się cesarza — ludzie naokoło tak powiadają. — Ileż to razy bruździł nam Rzym polityką i chciwością. Daleko od Piotra i Pawła do Borgiów i Medyceuszów. — Na to niewiele można było odpowiedzieć.

— Sir Tomaszu, chcesz umrzeć za Medyceusza, o tyle mniej wartego od ciebie? — zapytał onegdaj Norfolk, prostoduszny i naprawdę nie rozumiejący.

Sklepienie celi jest kształtu krzyża. Czarny krzyż trwa nad głową dniem i nocą.

— Nie ruszyliście ani śniadania ani obiadu, Sir. Możeście chory?

— Nie, mój dobry człowieku. Niestety jestem zdrów. — Zamknął oczy. Gdybyż zachorował, może przecież ostatecznie rozchorować się ciężko i umrzeć. Albo — bardzo długo chorować.

— Dbacie o mnie tak poczciwie, że gdybym był na tyle bezczelny — uśmiechnął się nie otwierając oczu — i uskarżał się na tutejszy wikt, wyrzućcie mnie czym prędzej za drzwi z tego zajazdu.

Choroba... śmierć. A co jeśli tymczasem pójdą do Chelsea, do jego domu i zabiorą wszystkich, razem z dziećmi. Heron, Roper, kobiety, — wszyscy niech powiedzą, czy król jest głową kościoła angielskiego? I będą się pocili krwawo, jak on, i tak będą leżeć jak martwi w swych celach, i tak samo będą kuszeni. To, że nadzieja na życie nie chce umrzeć, to jest pokusa prawie nad siły. Nie wolno człowieka tak kusić. Nikomu nie wolno. Gdyby mieli wziąć rodzinę...

Czy to Tertulian twierdził, że niema przebaczenia dla tych, co nie chcieli.. tych, co przysięgli? Nie, nie przysięgli: złożyli ofiarę przed posągiem, małe ziarno kadzidła przed martwym kamieniem — z „reservatio mentalis". Kościół odrzucił srogość Tertuliana. Uznał ją za herezję...

Czyżby naprawdę był chory? Myśli powracały w kółko, jak w gorączce. Zaczynał wciąż od nowa się modlić, a wciąż łapał się na myślach, które po dziesięćkroć rozważył gruntownie i uznał za niemożliwość. Gdyby miał radzić innemu... Ale nie, od początku rozstrzygał tylko dla siebie. Rozstrzygnął. Choćby chciał, nie potrafi teraz złudzić siebie.

Był czarny wieczór. Zjadł wystygłą polewkę i chodzić zaczął po celi. Czemu nie uciekł z Anglii? Zaufał Bogu. Znał swoją słabość ludzką, swoją cielesną wrażliwość na ból, przewidywał od lat Tower, przeczuwał dość dawno świadectwo śmierci, lecz całkowicie zdał się na Boga. Jak chory, który odrzuca wszystkie rady, prócz rady jednego uzdrowiciela. Jak oskarżony, który jednemu prawnikowi złożył w ręce swój los. Było to zuchwalstwo. Nie miał prawa narzucać się tak Bogu i kusić go o cudy. O cud łaski. I tak trwały cud, jak jego prośba. Na opoce tak, ale nie na trzcinie może wesprzeć się Kościół Boży. Zhańbiony, okłamany, rozgromiony, jak owczarnia bez pasterzy Kościół Anglii, Kościół Świętych, Kościół dawnych męczenników. Gorzkimi, ciężkimi łzami zapłakał nad swoją słabością.

Płacząc tak, jakby miał niewyczerpane źródło łez, znów usnął na klęczkach.

Kiedy arcybiskup Cranmer wszedł, wyrzekł słowa powitania i przysunął sobie krzesło — była to jakby postać w bardzo wyraźnym śnie. Więzień nie słyszał otwarcia ani zamknięcia drzwi; podniósł się, spojrzał po sobie, był zupełnie ubrany. Założył powoli włosy za uszy, starając się otrzeźwieć. Był dzień, Cranmer siedział przed nim jak osoba najzupełniej rzeczywista, z obgryzionymi paznokciami wielkich palców, którymi wygładzał fałdy na kolanach, z wytartym futrem rękawów, jakie się widzi u ludzi piszących wiele. Sir Tomasz powtórzył odpowiedź na powitanie, bo nie był pewien, czy ją wyrzekł poprzednio.

— ...pamiętacie zapewne, Mr. More, że po uchwale kleru przed trzema laty, uchwale, której tekst tak mało różni się od tekstu dzisiejszej przysięgi...

— Wiem, Rzym nie zerwał z królem stosunków. Już ukazywaliście mi poprzednio, Sir, tę furtkę dla sumienia. Ja zaś wam mówiłem... — Tok dialogu już wpadał w znajome oddawna koleiny i choć More z pewnym wysiłkiem dobierał słowa, najczęściej zato nie potrzeba było kończyć.

— Tak: że studiowaliści tę sprawę długie lata i nie widzicie nowych argumentów. Ale to widzicie chyba, że stojąc jeden przeciwko wszystkim pomnażacie anarchię i szkodzicie królestwu.

— Wiecie dobrze, że brzydzę się anarchią. — Sir Tomasz podniósł brwi tak jakby wzruszał ramionami. — Stać z opinią całego chrześcijaństwa przeciw radzie jednego królestwa...

— Wielka przesada. Ale choćby tak było, co komubądź z tego przyjdzie w tym królestwie angielskim? Co wskóracie gubiąc się? Pamiętacie wodza wikingów, który chciał zatrzymać przypływ? A lata winny nas przecież uczyć oglądania rzeczy ze wszystkich stron. Bez urazy i bez zacietrzewienia.

— Tak, zwłaszcza zaś sub specie universi. Atque aeternitatis. Czy prawda, zwyczajna prawda wedle was sprzeciwia się królestwu?

Arcybiskup Cranmer stłumił ziewnięcie, prawdziwe czy udane — zapewne prawdziwe i poruszył się niecierpliwie. Płodny jego umysł nie znosił nierozwikłanych sytuacji. Spojrzał bystrzej, mówiąc:

— Skrupuły królewskie... — Znów między nimi te słowa wystarczały za przemowę. Król Henryk rozwodził się przez skrupuły. Tudzież ścinał przez skrupuły — ...stają się dotkliwe. Wasze zachowanie podburza, zdaniem króla, księżniczkę Marię do grzesznej nieuległości ojcu. Wiem, wiem, nie rozmawialiście z nią od roku.

— Od dwóch.

— Niemniej zbawienie duszy księżniczki mocno leży na sumieniu króla.

Arcybiskup Cranmer był szanowny od stóp do głów. W jego głosie nie dosłuchałbyś się ani cienia ironii lub cynizmu. Podłużna twarz, delikatne ręce, ciemne szaty były samą przyzwoitością. Szare zaś oczy, neduże, ale ładnie osadzone, nigdy nie bywały puste, — ale nieobecne często. Myśli Cranmera chodziły własnymi drogami. — Nie były to wiadome z góry, układane myśli dworaka. Podzielał wiele tez luterańskich z przekonania: herezja była w tym arcybiskupie najrzetelniejszą jeszcze z jego spraw. Okoliczność, że król Henryk tępił obecnie luteranizm, obowiązywała jego zewnętrzną poprawność, ale nie jego myśl. Wzajemnie zaś: abstrakcyjne rozumowania i erudycja teologiczna jak dotąd nie popsuły mu w niczym kariery. Zarówno wszystkim wiadoma przyzwoitość, jak i prywatnie hodowana myśl nie uczyniły z Cranmera wroga Tomasza More'a. Arcybiskup posunął się nawet do zaproponowania zmian w przysiędze na użytek ekskanclerza oraz Johna Fishera. More'owi nie było jednak tajnę, że obecnie, po odmowie króla — i odmowie More'a — Cranmer całkowicie umywa ręce. Rozkłada te delikatne, niesplamione krwią ręce

stając przed królem i dziwi się, ubolewa: — ...Któż by się spodziewał, Wasza Królewska Mość? Komuż wobec tego można zaufać? A przyznaję, że lubiłem More'a, zwłaszcza za miłość, jaką zdawał się żywić do was, Najjaśniejszy Panie...

— Jesteście skrupulatem, Sir Tomaszu, ale wiecie równie dobrze jak ja, że dotąd jeszcze Rzym nie zrobił tego dogmatem: swego uniwersalnego zwierzchnictwa, ostatniej decyzji.

— Nie. Ale to jest prawda, Sir.

Prawda... A gdyby król kazał przysiąc, że dwa a dwa jest pięć, też wolelibyście położyć głowę? Coś w tym rodzaju pomyślał Cranmer z irytacją: wyrzekł zaś co innego, i spokojnie:

— Wyrokujecie śmiało o teologii.

— Ulgą dla mnie, możecie mi wierzyć, byłby choć cień wątpienia o tym, co wiem w tej materii.

— Erazm z Rotterdamu, Sir Tomaszu, napewno nie pochwala waszego rzymskiego fanatyzmu. — Myślące szare oczy wróciły jakby z wędrówki i znów przesunęły się po kratach okna. Czyż myślom nie wolno bujać tak swobodnie jak wolno oczom? Kto wyśledzi bieg spojrzenia? Gdzie tu rozum: z powodu niewidzialnych jak powietrze myśli — wcisnąć za kraty całą swoją cielesną, tak bardzo dotykalną osobę?

Więzień nie odpowiedział. Cóż było mówić?

Erazm możeby i przysiągł — przez obawę, że dwa a dwa jest pięć, ale przeżyłby to jak cios, a nie przełknął jak chleb z masłem.

Tomasz More czuł się tak już nędzny, słaby i nic nie wart, że nie tylko uchylał się, jak zwykle, przed ostrym sądem, ale opuściła go ironia. Mimo to widział tego człowieka przed sobą, Cranmera, w całej jego istności jaśniej niż kiedykolwiek. Król Henryk przynajmniej wierzy w swoje skrupuły. Dalibóg król to jeszcze człowiek całą gębą przy tym tu...

Niewielu chyba ludzi w kraju wątpi, że jeśli król zarządzi, żeby było piętnaście sakramentów, arcybiskup Cranmer rozłoży ręce i powie: — Nie dostrzegliśmy tego, co Najjaśniejszy Pan bystrością swoją przeniknął głębiej. Rycerz zaś Norfolk, uroniwszy małą łzę, a może już bez tego — starzejemy się — powie „winien", jeśli ktoś z jego przyjaciół pozostanie głuchy na powyższy argument.

— Powody mojej odmowy, wasza dostojność? Wyłuszczyłem je królowi. Jemu też, gdyby zechciał, powtórzę.

Rozumieli się znów.

Lepiej, żeby eks-kanclerz przysiągł, ale skoro nie chce...

Jeśli nie zechce... wtenczas trzeba mieć w ręku przyzwoity akt oskarżenia. Możliwie prędko. Cranmer lubuje się naprawdę w pracy umysłowej, filozofii, teologii. Uprzykrzone sprawy tego rodzaju nie po-

winny zakłócać mu spokoju zbyt długo. Swym wątłym głosem arcybiskup postawił pytanie: jeżeli Tomasz More tak mało dba o swoją przyszłość, a tak bardzo o swoje zdanie, czemu nie powie przynajmniej wyraźnie, że jest przeciwko ustawie?

— Wzorem Tego, Sir, który odmówił rzucenia się z wieży. Niestety, ale skrupuły króla muszą jeszcze nieco wzrosnąć, jak również wasze zdumienie nad moją niewdzięcznością. Zanim...

— Dopisuje wam humor — Cranmer jakby się ocknął.

— ...zanim uspokoimy się wszyscy.

— ...widocznie dobrze was traktują w Tower. Co mnie cieszy. Kiedy tu wszedłem, zdawało mi się, jakbym was widział nieco chorym.

— Wasza rozmowa uzdrowiła mnie, sir — odpowiedział Tomasz More zakładając włosy za uszy i roześmiał się.

Arcybiskup Cranmer wstał. — Chciałbym się mylić, ale wygląda mi na to, że stoicie tam, gdzieście stali?

Och tak. Radość ostra jak najostrzejsze radości młodych lat przeniknęła More'a: dalibóg stoi tam, gdzie stał.

Coś w nim aż zaśpiewało. Te martyrum candidatus laudat exercitus...

Oczy Cranmera o znużonych, opadających powiekach patrzyły jeszcze na Tomasza More'a: jakby oceniały tę głowę nie starą jeszcze, jedną z najtęższych głów w Europie, rozległą czaszkę osadzoną na mocnym karku, czerstwą twarz rozjaśnioną jeszcze śmiechem. Szare oczy mówiły: chodzi o jedną tezę, powiedzmy: o dwie, jedno „sed contra" teologii, po ludzku jeden krok rozumowania. Pojmujesz to równie dokładnie jak ja. I owszem, mówiły rozjaśnione oczy More'a: o j e d n o, tak jest, chodzi o jedno.

Cranmer spuścił powieki. Jego przyzwoitość i szanowność nie chciała okazać, ale ostatecznie okazała, że z chwilą... że teraz... Słowem, że sprawa ma dwie strony: póki się dyskutuje, wałkuje się argumenty, jest się między przyjaciółmi i równymi. Ale potem pokaże się ta druga strona, czy inne piętro; jak w tych zamkach, gdzie zapadnia chyli się, człowiek spada i ten co był strojnym, wesołym przybyszem, biesiadnikiem, leży w lochu sam jeden z połamanymi nogami. I dotknie go już tylko nienawiść obcęgami kaźni. Oto jest druga strona sprawy sir Tomasza More'a.

Cranmer zapytał: — Więc c h c e c i e umrzeć? I to prędko?

Poczym drzwi zamknęły się za nim — prawie jak zapadnia nad głową strąconego w loch. Tylko że człowiek, który pozostał w celi Tower, czuł się zgoła inaczej, niż strącony zdradziecko gość zamku z niespodziankami.

Czuł się tak samo nędzny i bezradny jak ubiegłej nocy, ale wielce szczęśliwy. Patrzcież: nie potrafił nawet zaufać do końca, a Bóg trzymał go przez cały czas. Głupca i ślepca. Tak często, całe życie modlił się o chleb łaski na taką chwilę, a Ojciec miałby mu podać kamień rozpaczy?

Tamto przeminęło. Ocknął się — z pamięcią, że to nie był sen. Ale i w skrusze miał źródło pocieszenia.

Bracia kartuzi, jakże piękna śmierć. Te martyrum candidatus... On, głupi zwątpił był. O pięknośći Bożej tak jak i o miłosierdziu. Echo radosnego śmiechu trwało w nim jeszcze. Dobry Bóg posłał mu tak brzydkiego, odstręczającego kusiciela. W sam raz dla takich słabeuszów jak on. „Stoisz, gdzie stałeś"... Był szczęśliwy. Nie był w piekle. W miejscu tak szpetnym i podłym, że można tam tylko nienawidzieć! w służalczej świcie despoty. Wiedział już, że nie skłamie Bogu i sobie, bo brzydzi się tego więcej jeszcze niż wydarcia wnętrzności.

A choćby stary grzesznik znów zgłupiał i oślepł, Chrystus żyje i nie zasypia, ten sam. „Ja przyjdę i uzdrowię go".

Chcesz umrzeć? Zaraz? — pytanie Cranmera wisiało jeszcze w powietrzu, zakonserwowane przez ciszę celi. Nie, on nie chce umrzeć. Tym mniej prędko. Bo teraz nie przestrasza go już ta szczypta nadziei — nadziei, która pożyje z nim do końca — że a nuż się cofną? Nie dręczy go już to, bo nie przeraża go już — tamto. Ciało nie drewno, pewnie drżąc będzie wlokło się na mękę. Ale to nie jest już naprawdę s t r a c h, ten okropny ludzki strach, obcy pozbawionym wyobraźni zwierzętom, znany ludziom bez łaski lub próbowanym przez łaskę. Może również szatanom.

Poza tym życie było znów tak piękną i wdzięczną rzeczą — nawet tu — takim serdecznym darem Bożym. Wielcy słudzy Pańscy pragnęli dusznie odejść i być z Panem. On mały, grzeszny tego nigdy nie pragnął. Nie zawstydzało go to jednak. Synowi Człowieczemu chyba to jest po sercu, jeśli się go widzi także na ziemi, na każdym miejscu i w każdej godzinie. Nawet w Tower. Ba, jakże by nie miał być w Tower?

— Okazało się jednak, że to wam słuchać moich dobrych rad, a nie mnie waszych — oświadczył Tomasz Cromwell, siadając w wielkim fotelu, który kazał sobie tu przydźwigać. — Sami to widzicie. Inaczej nasza znajomość skończy się rychło.

Po ustach More'a przewinął się uśmiech, znaczący: gdyby to ode mnie zależało, skończyłaby się już dawno. Nie powiedział nic. Owszem, pamiętali obaj radę, jaką odchodzący eks-kanclerz udzielił nowej gwieździe kancelarii królewskiej, w osobie Cromwella. Tom Cromwell,

okrągłooki i płaskonosy, cieszył się, zgodnie ze swoją naturą, przypominając mu to w Tower. Tomasz More zaś zmilczał. Właściwie prawie wstydził się: nie z powodu odmiany losów, ani treści swojej rady, ale dlatego, że już wówczas nie wierzył w jej skuteczność. Mówić do Tomasza Cromwella: — Wskazujcie królowi zawsze, co powinien zrobić, a nie co zdolen jest zrobić, a wypełnicie zadanie prawego doradcy — mówić to, czy nie było po prostu łudzeniem własnej rozterki? Złożył oto dobrowolnie pieczęć, a pochwycił ją prawie w locie taki zbir jak Cromwell.

...Gdyby jednak Tomasz More pozostał wówczas, czy dziś nie byłby czymś w rodzaju Tomasza Cromwella? Niech Bóg sądzi nas wszystkich wedle miłosierdzia. A nade wszystko niech ma w opiece króla i królestwo.

Purpura na twarzy i karku Cormwella świadczyła o niefałszowanej pasji. Odkąd ten człowiek wspiął się wysoko, pozwalał sobie często na nią.

— Nie milczcie jak pień. Żyjesz dotąd tylko z królewskiej pobłażliwości, a ta się kończy. Jesteście buntownik i zdrajca.

— Quod gratis affirmatur, gratis negatur – szepnął sir Tomasz More podnosząc brwi.

— Nie myślcie, że nie znam prawa i że mnie zaskoczą wasze wykręty.

— To nie prawo, sir, to logika. A znaczy: twierdzenie bez dowodu wolno odrzucić bez dowodu.

— Wiem, nie pouczajcież mnie znowu, człowieku.

— Tego, co najwięcej warte w życiu, nie podjąłbym się nauczyć was, Sir.—Ironia i spokój zawsze mimo wszystko kiełznały Cromwella. Pierwszym jego poczuciem było wówczas: co też ten drugi kryje jeszcze w zanadrzu? A gdy po chwili pojmował, że tamten, więzień nie ma już n i c i nic nie kryje, rozmowa bynajmniej nie przyjacielska, ale rozmowa, toczyła się tymczasem dalej.

Tomasz Cromwell spieszył się przez całe życie jak poganiacz: wio, wio, dalej, wyżej. Tym bardziej dziś, gdy naprawdę umyślił (czy kazano mu) kończyć. Niecierpliwszy jeszcze człek niż Cranmer, którego niepokój płynie raczej z lekkości i łatwości rozumowania, a rzeczy zewnętrznych nie tyka, bo ich prawie nie dostrzega. Tomasz More natomiast — a i król Harry niegdyś był taki — zwykł był smakować każdą chwilę, godzinę i dzień — nie porzucał żadnego, tak jak młody pies porzuca jeden łup dla drugiego, albo niedoświadczona kupująca jedną materię dla drugiej.

Okrągłooki człowiek okazji będąc tu c h c i a ł załatwić rzecz; mimo wszelkie możliwe urazy wolał nadal przysięgę Tomasza More'a niż

jego głowę. Z drugiej strony jego czas był cenny. Nie życzył sobie słuchać tych samych co przedtem replik, a nie znajdował nowych zarzutów czy gróźb. Patrzył na Tomasza More'a z nierozumiejącą pasją.

Ten, jako się rzekło, nie czuł nigdy potrzeby ucieczki z jednej sytuacji do innej. Tym razem jednak i on pragnął kończyć. (Czy chcesz umrzeć? Zaraz? Nie, nadal nie chciał. Ale nie chciał także widzieć Tomasza Cromwella).

— Zgłupieliście, czy duru zadał wam ktoś! — fotel zatrzeszczał, bo sekretarz królewski rzucił się na nim gwałtownie. — Skąd wam to na stare lata?... Przecie wiem...

Tomasz More pomógł mu do wyrażenia myśli. — Owszem, tak, wiadomości wasze odpowiadają prawdzie. Lubiłem zawsze pięknie mieszkać. Nic milszego nie znałem nad koło przyjaciół. Kupowałem rzadkie zwierzęta. A czasem dawałem dobre obiady. Cóż to jednak ma do rzeczy?

Okrągłe oczy Cromwella stały się jeszcze okrąglejsze. Więzień jednak uśmiechnął się zamiast dalej mu dopomagać.

Poczym rzekł: — Wiem, że to dla was, mości panie Cromwell, kłopotliwe: nie móc pójść do króla dziś wieczór — ani zaiste żadnego innego wieczoru — i powiedzieć: przekonałem More'a, czy tam: nastraszyłem More'a. Ale przyznasz mospan, że to znacznie większy kłopot dla mnie. Jeśli nie ustąpiłem przez wzgląd na siebie, wybaczcie ale nie zrobię tego przez uczynność dla was.

...Czy chcesz umrzeć? Rychło? Czy chcesz jeszcze mówić z tym człowiekiem? Ta sytuacja jest już naprawdę bez znaczenia.

Cóż ma znaczenie? Co jest sprawą jedynie ważną, piękną, ciekawą? Boskie sprawy, poczęte w Trójcy — słowa człowiecze nie potrafią oddać tego, co jest wiekuistym początkiem — a wiodące poprzez Krzyż do Zmartwychwstania. W tej chwili modlitwa za wrogów zrodziła się w nim tak swobodna i mocna, jak nigdy jeszcze w życiu.

Powiedział tym ludziom, tym z sądu, Cranmerowi, Audley'owi, Norfolkowi, innym: — Jeżeli wolno „parva magnis componere", przypomnę wam, panowie, że chociaż święty Paweł przystał na skazanie i ukamienowanie świętego Szczepana, dzisiaj są razem w dobrej komitywie w niebie, którego to końca wam i sobie życzę. — Oczywiście powiedział to wesoło, ale dlatego właśnie, że te słowa niemało go kosztowały. W tej chwil jednak taż sama modlitwa — Szczepanowe i Pańskie „nie poczytuj" — przyszła mu zgoła bez trudu ani oporu. Modlitwa za Cromwella, za Cranmera.

Ponieważ jednak sir Tomasz More, choć niezmiernie uspokojony i radosny ponad naturalne możliwości swego położenia, pozostał całkowicie sobą, jak najbardziej sobą, uśmiechnął się w milczeniu, myśląc: Niebo nie jest Akademią Humanistów, ani Związkiem Miłych Druhów.

Żadną miarą nie mogę wymagać, żebym nie spotkał się tam z Tomem Cromwellem.

Fotel znów stęknął. — Człeku uparty i zatwardziały, zapominacie, że mało mam czasu...

O tak, mało czasu mamy. Jeszcze mniej niż każdemu z nas się wydaje, przyjacielu. Bracie Cromwellu.

„Nie czuję się obowiązany przystosowywać moje sumienie do praw królestwa, gdy prawa te stoją w sprzeczności z całym chrześcijańskim światem. Na jednego biskupa po waszej stronie mam więcej niż paruset świętych, myślących tak samo jak ja; a w miejsce waszego parlamentu mam za sobą wszystkie sobory z ostatniego tysiąclecia...“ — tak kończył Tomasz More swoje ostatnie przemówienie — które nie było już obroną.

Historia, za mnogimi świadkami, powtórzyła w liczbie ostatnich powiedzeń More'a dwa żarty.

Pierwszy zadziwił obecnych może więcej niż drugi. A jednak był świadectwem bardzo ludzkiej ulgi. Gdy eks-kanclerzowi oznajmiono, że łaska królewska zmienia mu wyrok ćwiartowania na zwykłe ścięcie, wyraził wdzięczność, dodając: — Wolałbym jednak, żeby tego rodzaju łaski nie spływały na moich przyjaciół — z poważną twarzą, jak wtedy, gdy z głębi serca żartował. O tak, to b y ł a ulga.

Skrucha i dziś jeszcze może wam wrócić życie i wolność, przypomniał Norfolk. Nie miało to już znaczenia.

U stopni szafotu — w dniu 6 lipca 1535 roku — sir Tomasz More poprosił z uśmiechem oficera: — Pomóż mi wejść, dobry panie. Schodząc poradzę już sobie sam.

HANNA MALEWSKA

TREŚĆ ZESZYTU:

KALENDARZYK KIESZONKOWY NA ROK 1952

IN HOC
SIGNO
VINCES